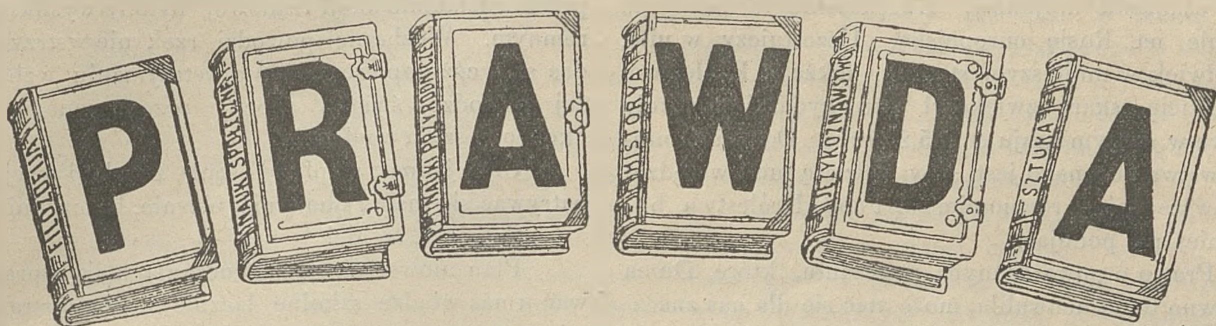
Nr 15 (1578). Warszawa, 15 kwietnia 1911 r. Rok XXXI



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja zostały przeniesione do gmachu Tow. techników, ul. WŁODZIMIERSKA Nr. 5.

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Szkoła początkowa.

System pracy oświatowej, jako tako prosperujący w zakresie szkolnictwa średniego, przedstawia natomiast obraz rozpaczliwego upośledzenia w dziedzinie szkół wyższych oraz w dziedzinie szkoły elementarnej. Ta zaś ostatnia ma w chwili obecnej dla nas znaczenie najdonioślejsze, jak to niejednokrotnie już staraliśmy się wykazać. Dopóki do organizmu kultury narodowej nie wcielimy olbrzymiej siedmiomiljonowej masy włościaństwa, dotąd, serjo rzeczy biorąc, nie może być mowy o jakimkolwiek odrodzeniu Polski na podstawach równości i demokratyzmu. To zaś wcielenie do kultury ojczystej dokonać się może jedynie na drodze wzmożonej, powszechnej, energicznej oświaty.

W poczuciu powagi i pilności jaknajszerszej pracy oświatowej śród ludu, zwracaliśmy się z wezwaniem do ogółu społeczeństwa, nawołując do poparcia szkół istniejących, tudzież krzewienia placówek nowych. Niestety, obowiązek oświecania i uobywatelania ludu naszego leży na sercu zaledwie garstce jednostek ideowych śród niezamożnej przeważnie inteligencji, nie znajdując żywszego oddźwięku ani w kołach bogatego ziemiaństwa, ani śród przemysłowców, ani pośród skosmopolityzowanej, głuchej na potrzeby kraju arystokracji. „Dwóch, trzech magnatów — pisze Żeromski — mogłoby ugruntować oświatę w kraju; atoli nikt z nich nie żywi żadnej górnej namiętności, żadnej ambicji miljonera amerykańskiego. Szeroki ogół umie tylko i chce leżeć bezczynnie, jak szlam w stawisku, — płynąć biernie po szlakach najsłabszego oporu, jak zaskórna kurzawka i beczeć, jak stado owiec, gdy bat na grzbiety spada".

Szkolnictwo ludowe, zaniedbane przez ogół społeczeństwa, a wręcz fanatycznie zwalczane przez kler katolicki, jednocześnie do ostatnich niemal lat krępowane było przemożnie przez ucisk władz państwowych. Ucisk ów, tamujący ruch oświeceniowy w całym Cesarstwie, z osobliwą fatalną siłą zaciężył nad Królestwem, degradując je niemal z każdym lat dziesiątkiem w stosunku do innych krajów, pod względem umysłowym i kulturalnym.

Wedle cyfr, przytoczonych przez p. Władysława Grabskiego (*Kurjer Warsz.* Nr. 89) już na początku ubiegłego stulecia istniało w ówczesnym Księztwie Warszawskim 578 szkół ludowych początkowych; w połowie stulecia liczba ta wzrosła do 1,073, gdy tymczasem w Rosji, mniej więcej w tym samym okresie istniało zaledwie 26 takich szkół.

Jakże tragicznie na niekorzyść naszą odwrócił się stosunek ów w zaraniu XX-go wieku! Oto dziś, według danych urzędowych, widzimy w Rosji europejskiej 87,198 szkół początkowych, gdy tymczasem w Królestwie liczba ich dochodzi tylko do 8,655 wraz z chederami.

W ciągu ostatniego zatym półwiecza, Rosja, która niegdyś znacznie pozostawała poza nami w tyle co do oświaty ludowej, wyprzedziła nas o wiele, i przyznać trzeba, że z roku na rok wyprzedza nas coraz szybciej.

Jak wiadomo bowiem, Rosja zmierza wielkimi krokami do nauczania powszechnego. Sfery kierownicze pojęły, iż społecznej, politycznej a nawet militarnej potęgi mocarstwa nie można już dzisiaj opierać na ciemnocie. Światły, samozaradny, odpowiedzialny za siebie obywatel, nie zaś przesądny, ślepy *chołop*, zgięty pod obcasem czynownika, stanie się ostatecznym zwycięzcą na arenie wielkiej światowej wojny, której burza niepohamowana lada chwila roz-

pętać się może ponad wszystkie oceany i lądy. W ciągu ostatnich trzech lat ministerjum oświaty zwiększyło wydatki swoje na szkolnictwo ludowe w stosunku 200%. Z sześciu miljonów rb. podniosło je do wysokości ośmnastu miljonów. Zwiększenie to przypada głównie na Rosję europejską. Uczestniczy w nim, aczkolwiek w mniejszym stopniu, także i Królestwo: mianowicie, skarb zwiększył swe wydatki na szkoły ludowe w naszym kraju o 285,250 rb. Dążeniem prawodawstwa obecnego jest, aby oświatę ludu wszędzie rozpowszechniać równomiernie i aby Królestwa bynajmniej nie pomijać.

Prawo o powszechnym nauczaniu, które Duma niedawno temu uchwaliła, może stać się dla nas znaczną pomocą: przeznacza ono w ciągu lat dziesięciu dla całego państwa coroczne powiększenie wydatków skarbu o dziesięć miljonów rubli, tak, że w r. 1922-im wydatki skarbu na szkoły początkowe w państwie mają dojść do sumy 150 miljonów rb. rocznie, wystarczającej dla utrzymania powszechnego nauczania w całym państwie.

W każdej gminie mają być zaprojektowane sieci szkolne z taką liczbą szkół, aby jedna wypadała na każde 50 dzieci w wieku szkolnym.

Otóż, dla urzeczywistnienia celów powyższych — tłómaczy p. Grabski — potrzeba będzie, biorąc pod uwagę przyrost ludności w naszym kraju, zwiększyć liczbę szkół sześciokrotnie.

Trudno niezgodzić się z p. Grabskim, iż wobec kolosalnych zamiarów rządu, stoimy istotnie w przededniu wielkiego przełomu w życiu kulturalnym naszego ludu.

Rychlej, niźli przypuszczaliśmy, na tle zarysów przyszłości, zda się kształty konkretne oblekać niepokojąca groźba, wyrażona przez nas na tym miejscu w jednym z poprzednich artykułów *Prawdy*: w Petersburgu ma powstać kuźnia oświaty dla polskiego ludu; z rąk biurokracji, z rąk obcych włościanin otrzymać ma szczepionkę kultury, jak ongi z obcej woli pozyskał swobodę i ziemię.

Rzecz jest oczywista, że wszelkie z naszej strony przeciwdziałanie akcji rządowej byłoby wysiłkiem daremnym. Wezbranej powodzi rzek nie wstrzyma żadna siła, cóż dopiero mówić o wstrzymaniu wzbierającej powodzi światła choćby przepuszonego przez okopcone szkła tendencji?

Czyż jednak wypływa stąd, że akcji owej przypatrywać się mamy obojętnie, biernie, bezczynnie?

Sądzimy, że nie!

Plan powszechnego nauczania mają opracowywać u nas władze szkolne łącznie z administracyjnymi, a przy samorządzie organy samorządu. U nas władze obowiązane będą przedstawiać plany projektowanych sieci szkolnych gminom. Bez udziału pieniężnego gmin i miast urzeczywistnienie takiej organizacji powszechnego nauczania jest niemożliwe. Wszelako skarb ma ułatwić ten udział, redukując go do *minimum*, czyli do kosztów opału, światła i utrzymania lokalu, bo cała pensja nauczycieli może iść na koszt skarbu.

Są to, materjalnie biorąc, warunki bardzo dogodne. Najwybitniej atoli zasiłek skarbowy występuje przy budowie nowych domów szkolnych: prawo z d. 9 Lipca 1909 r. stanowi, że na wybudowanie nowych szkół skarb daje zapomogę bezzwrotną do wysokości połowy kosztów budowy, oraz pożyczkę na 20 lat na 3% do wysokości łącznie z zapomogą $^4/_5$ kosztów budowy. Szkołę jednoklasową wiejską można postawić doskonałą, — powiada p. Grabski, — za 4 tysiące rb., a wtedy 2 tysiące dodaje skarb bezpłatnie, 1,200 rb. pożycza na 3%, a tylko 800 rb. płaci gmina wiejska.

Jeżeli wziąć pod uwagę, — mówi dalej p. Grabski, — że te 800 rb. mogą być wzięte z czystych dochodów kas gminnych, to okaże się, że każda gmina

---

ECHA PRAWDY.

„Srebrna papierośnica”.

Dwa powyższe wyrazy, w cudzysłów ujęte, dotychczas były jedynie niewinnym tytułem pewnej sztuki angielskiej. o melodramatycznym zakroju. Atoli od soboty ubiegł. tygodnia (d. 8 b. m.) pozyskały one inne jeszcze znaczenie: oto stały się godłem widomym ostatecznego upadku *Małego Teatru*. Nie na tym bowiem dramat świeżo wystawionej w nim sztuki polega, że zgubiona została „papierośnica”, i że nędzarz niewinny idzie do więzienia, ale że sponiewieraniu uległa, w akcji tego widowiska, godność artystyczna sceny, na której przecież ongi grywano Ibsena i d'Annunzia, Gide'a i Krasińskiego! Skradziona w pierwszym akcie papierośnica odnajdzie się w akcie trzecim, ale któż przywróci stracony *prestige* sceny, kto wynagrodzi artystom zapał strwoniony w jałowym wysiłku?

Żałosna legenda o dwóch Kempnerach i o „Nowej Gazecie”.

Jest pewien gatunek ludzi, którzy wszelką uprzejmość lub delikatność ze strony przeciwnika kładą na karb jego słabości.

Tej niemiłej iluzji uległ w stosunku do nas p. Stanisław Kempner. Widząc, że nawet polemizując z nim, traktujemy go grzecznie, zawyrokował, jak ów rabin z Glinojecka, że on, p. Stanisław Kempner, to jest widocznie bardzo szacowna osoba, ma tedy wszelkie prawo nam wymyślać i grozić siłą ślepego Samsona.

Pan Stanisław Kempner nie czuje snadź powodów do jakiegokolwiek dla nas respektu. Myśmy, podczas całego starcia, nie uczęstowali go ani „pachciarzem”, ani „Szają” ani żadnym z tych soczystych epitetów, którymi tak sowicie darzy p. Kempnera prasa konserwatywna To też dla nas ma on tylko niepomiarkowaną pychę, gdy dla tamtej czuje szacunek i gorącą sympatję. Dość, aby ktokolwiek z obozu konserwatywnego, jakiś „kochany pan Ludwik” kiwnął nań, gwizdnął lub chrząknął,—już „kochany pan Stanisław” biegnie ze wzruszeniem, dotyka ręką piersi i składa głęboki ukłon, niepewny czy go poproszą siedzieć.

My, unikając napaści osobistych, wytykaliśmy jedynie *Nowej Gazecie* oportunizm, dwulicowość i niedołęztwo. Wzamian za to usłyszeliśmy zarzut nieoczekiwany, iż... piszemy „anemicznie”.

A? więc pan Stanisław Kempner chce nas skłonić do tego, abyśmy stali się w polemice równie brutalni, jak on?—Nie! do tego nas nie skłoni. Natomiast z przykrością widzimy, że tym razem, porzucając formy kurtuazji, na których się pan Kempner nie zna,

jest w możności bez wielkiego ciężaru rozwinąć znacznie sieć swoich szkół.

Nie potrzebujemy dowodzić, że miejscowe władze szkolne zajęte są więcej tresurą polityczną i rusyfikacją szkół istniejących, niż powoływaniem do życia nowych.

Ale tutaj właśnie otwiera się pole dla działań inteligencji polskiej. Winna ona wpływać na to, aby nowe szkoły, nowe gmachy, nowe utensylja oświatowe powstawały jaknajliczniej. Presja polityczna, wywierana przez władze szkolne z góry, z konieczności osłabnąć musi, rozpraszając się na większą ilość punktów. Zadaniem inteligencji wiejskiej powinna stać się troska o to, by pertraktacje gmin z władzami szkolnymi doprowadzały do najkorzystniejszych dla ludu wyników. Naczelna zwłaszcza rola przypadnie tu w udziale ziemiaństwu, które nadal stanowczo uchylać się nie powinno od uczestnictwa w sprawach zarządu gminnego i gospodarki gminnej.

Szkoły początkowe, przez sam wzrost swej potęgi liczebnej, nabiorą silniejszego charakteru polskości. Zauważmy, że nauczyciele ludowi rekrutować się będą niemal wyłącznie z żywiołu polskiego, gdyż Rosja przez długie lata nasyłać nam swych *stupajek* nie będzie miała możności, ponieważ sama nauczycieli ludowych posiada zbyt mało dla szkół własnych. Zadaniem tedy naszym z kolei będzie pozyskać wpływ na umysłowość nauczycieli początkowych i otoczyć sumienie ich czujną opieką narodową.

Przy opodatkowaniu gruntowym na rzecz skarbu osiem razy większym, niż to, które powinno na nas spadać podług skali, obowiązującej w Cesarstwie, przy całym uciążliwym systemie opłat wyjątkowych i finansowych obarczeń, rząd centralny ciągnie corocznie z kraju naszego dochody olbrzymie: niechaj tedy mała choćby cząstka sum owych wraca do nas doraźnie w postaci licznych zasiłków na budowanie szkół. Niechaj w ten sposób powoli tworzy się w kraju naszym i narasta to materjalne podłoże organizacji oświatowej, która zawsze mieć będzie znaczenie doniosłe i wartość pierwszorzędną dla kultury narodu. Nie możemy pozyskać w szkole rządowej ojczystego języka, jako wykładowego w wyższych oddziałach, to też zakładanie szkół prywatnych pozostanie i nadal jednym z najszczytniejszych naszych obowiązków społecznych, dla rozwijania ognisk odrębnej, samodzielnej kultury narodowej.

Wszelako szkoła prywatna, oparta na inicjatywie jednostkowej, a nieraz czerpiąca byt twój z ofiar lub filantropji przypadkowej, nie zdoła odpowiedzieć szerokim niezmiernym zadaniem powszechnego nauczania. Będzie ona świecznikiem gorejącym w mroku, oazą śród pustyni, przykładem i wzorem ideału błyszczącego ponad tłem rzeczywistości, ale do głębin pokładów społecznych nie dotrze, i na ich dnie rozległym światła swych dobroczynnych promieni rozpostrzeć nie zdoła.

Tam sięgnąć może jedynie wszechstronna potęga organizacji skarbowej.

Zakładajmy więc szkoły polskie prywatne, bo są one dla nas ratunkiem i zbawieniem społecznym: twórzmy je tam, gdzie możemy, gdzie nam starczają środki. Ale jednocześnie umiejmy i starajmy się korzystać ze skarbowej szkoły początkowej wszędzie, gdzie żąda tego od nas dzisiejsza surowa, nieubłagana konieczność.

---

zmuszeni będziemy postąpić z nim tak ostro i bezwzględnie, jak na to zasłużył.

Może nakoniec zrozumie! Może zrozumie, że dotąd przez litość tylko, aby mu oszczędzić owego piekła wstydu, przez które obecnie przejść będzie musiał, nie obnażaliśmy na widok publiczny jego śmiesznie bolesnej, karykaturalnej nędzy!

Ale raz wreszcie przeciąć trzeba ten wrzód kompromitacji i pośmiewiska na ciele polskiego postępu.

Tak! wstydu i pośmiewiska! wstydu i upokorzenia! Ileż bowiem razy, na oczach narodu całego, zmuszeni bywaliśmy rumienić się w milczeniu za aroganckie bufonady Stanisława, za błazeńskie koncepty Gabrjela, za nieprzyzwoity szwargot *Nowej Gazety*?

Od iluż to lat dźwigamy na sobie tę nienawiść pośmiewiska całej Polski? Przez jaki tragizm nieporozumienia ci dwaj „geszefciarze" znaleźli się w obozie postępu, w obozie walki, idei i poświęcenia? Pełni energji i entuzjazmu tam, gdzie chodzi o ich interes osobisty, natomiast opieszali i wstrzemięźliwi zawsze, ilekroć chodzi o poparcie przedsięwzięcia ideowego, Kempnerowie połączyć potrafili w sobie najwstrętniejsze znamiona fałszu, obłudy, intryganctwa. W jakiejś dziwnej, niepojętej zaiste mieszaninie, złożyły się na ich charaktery buta obok lokajstwa, pycha obok płaskiej służalczości, opryskliwość i krętactwo, niebotyczna wreszcie ambicja obok wszechstronnej nieudolności.

Roztrącając łokciami Świętochowskich i Lednickich, lub w razie potrzeby skradając się chyłkiem po za nimi ku stanowiskom reprezentacyjnym, obaj ci macherzy, z czelnością nie mniejszą od Piltzów i Rabskich, wrzeszczeli: „Polska to my". Świadcząc się krwią przelaną pod Grunwaldem, wobec tłumu ryczącej z uciechy gawiedzi, nie zawahali się ani na chwilę czoła swego naznaczyć chryzmem rewolucyjnej tradycji ducha polskiego, dłonią handlarzy i przekupniów sięgając po ofiarne dziedzictwo świętych bojów Kościuszkowskich.

Czas jest ostateczny, by kres tej farsie ohydnej położyć! My, postępowcy, pracujemy i zmagamy się śród walk ustawicznych, w zbyt twardych i uciążliwych warunkach, aby wlec po za sobą jeszcze trupi balast, w postaci kempnerowskiego kramiku, który nieustannie nas kompromituje zgiełkiem przetargów i harmidrem giełdziarstwa. Od ogniska pracy ideowej i bezinteresownych dążeń przepędzić musimy precz tych wszystkich, którzy pod osłoną idei chcą przemycać spekulację!

W tym miejscu przygotowani jesteśmy, że pan Kempner zarzuci nam antysemityzm. Sądzimy wszelako, że tego rodzaju zarzuty z ust pana Kempnera przyjmować należy już tylko chóralnymi wybuchami śmiechu.

Największym antysemitą w Polsce jest nikt inny tylko sam pan Stanisław Kempner do spółki z nieśmiertelnym Gabrjelem, bo oni to największą krzywdę żydom polskim wyrządzili przez nagromadzenie

Koła polskie w Berlinie.[1])

Dzieje parlamentaryzmu pruskiego, przebieg marcowego powstania berlińskiego, jego okres przedwstępny, jak i czas porewolucyjny naogół są znane.

Kiedy z początkiem roku 1847, patent królewski Fryderyka Wilhelma IV powoływał do życia połączony sejm monarchji pruskiej, znamionował on nowy, parlamentarny ustrój państwa pruskiego. Wprawdzie, składając się ze wszystkich sejmów prowincjonalnych, był sejm połączony karykaturą parlamentu, wprawdzie miał on charakter ciała wyłącznie prawie doradczego, pomimo jednak tego wszystkiego, patent królewski był oznaką poważnego liczenia się z ówczesnymi prądami i ówczesnymi ruchami rewolucyjnymi, był wyraźną na ich rzecz koncesją, ze strony rządu pruskiego udzieloną.

Zbyt słabą tamę, niezdolną do powstrzymania dalszego rozwoju wypadków, zbudował rząd Fryderyka Wilhelma IV, powołując do Berlina nowy połączony sejm pruski. Wystarczył silniejszy podmuch rewolucyjny od strony Francji, by stolica Prus stała się sama ośrodkiem ludowych zaburzeń, które niszcząc dotychczasowy sejm, zmusiły rząd i króla pruskiego do zwołania zgromadzenia narodowego. Obrady berlińskiego zgromadzenia narodowego trwały krótko — Fryderyk Wilhelm IV skorzystał bowiem z pierwszego poważniejszego zatargu, by obrady jego zamknąć, później zaś zupełnie zawiesić. Z własnej tedy już mocy nadaje król pruski konstytucję, zaprowadzającą dwuizbowy system przedstawicielstwa ludowego, zwołuje obie izby, zmienia później prawo wyborcze i zniewala izbę sejmową do rewizji nadanej przez niego samego konstytucji, wedle nowych swych rachub, wynikających z nowej wewnętrznej sytuacji. Takimi drogami rząd królewski wyprowadził konstytucję monarchji pruskiej na grunt dlań najdogodniejszy.

Jednocześnie poważne zmiany dokonywały się i wewnątrz związku niemieckiego. Najważniejszym przecież celem ruchu ludowego w r. 1848 było przekształcenie całkowite związku niemieckiego, zamiana związku państw na nowożytne państwo związkowe niemieckie z silną, konstytucyjną władzą centralną. Dokonać tego miało niemieckie zgromadzenie narodowe we Frankfurcie nad Menem. Ale tak samo, jak obrady zgromadzenia narodowego w Berlinie, rozpędzonego przez rząd pruski, nie dały żadnych pozytywnych wyników, tak samo i obrady parlamentu frankfurckiego wskutek odwołania przez Prusy posłów z Prus wybranych i nieuznania przez to państwo kompetencji samego parlamentu, zostały zerwane.

Podczas kiedy rewolucja niemiecka walczyła z rządem na gruncie berlińskim i frankfurckim, zgoła odmiennym był bieg wypadków w Poznańskim. Wypadki berlińskie, w czasie których z więzienia moabickiego uwolniono polskich więźniów stanu z Mierosławskim i Libeltem na czele, wywołały nowe nadzieje Polaków w Ks. Poznańskim, dały bodźca do wytężonej pracy narodowej. Istotną władzą stał się polski komitet narodowy w Poznaniu, sprawując rządy przy pomocy swoich komisarzy powiatowych. Deputacja polska pod wodzą arcybiskupa ks. Przyłuskiego udała się do Berlina z szeregiem postulatów, dotyczących narodowej reorganizacji Księztwa Poznańskiego. Tymczasem zaś Ludwik Mierosławski zdołał zorganizować polskie siły zbrojne, w ogólnej liczbie około 10 tysięcy ludzi, która to liczba na mocy ugody w Jarosławcu zredukowaną została do 3 tysięcy żołnierzy, załogujących we Wrześni, Mirosławiu, Księżu i Pleszewie.

Przewidziane przez ugodę jarosławiecką postulaty polskie zostały jednak przez głównodowodzącego jenerała pruskiego Colomba pogwałcone. Swoim postępowaniem doprowadził Colomb do starć zbrojnych pod Wrześnią, Książem i Mirosławiem. Pomimo, że większość tych potyczek skończyła się porażką Prusaków, to jednak wobec przeważających znacznie sił pruskich, Polacy zmuszeni byli kapitulować pod Murzynowem-Borowem (d. 7 maja 1848 r.) Wzamian narodowej reorganizacji ustanowiono w Ks. Poznańskim stan oblężenia.

Przedstawiliśmy w kilku słowach przebieg ważniejszych wypadków z okresu wrzeń rewolucyjnych w Prusiech w r. 1847—48, by na ich tle omówić pracę

[1]) Dr. Roman Komierowski: „Koła Polskie w Berlinie“ (1847—1860) Poznań, 1910.

---

dokoła siebie niepokonanych suggestji komizmu, pyszałkowatości, czelnej arogancji i niewolniczego służalstwa.

Pamiętamy jedną scenę, która, wystawiona w iluzjonie, osiągnęłaby w Królestwie napewno niepomierny sukces.

Przyjechał przed paru laty do Warszawy Aleksander Lednicki, aby wygłosić publiczny odczyt w wielkiej sali Filharmonji. Zebrały się tłumy, chcąc posłyszeć znakomitego mówcę. Gdy wstępował na katedrę, powitały go tysiączne salwy oklasków. Jakież jednak było zdziwienie publiczności, gdy w tej samej chwili z obu stron prelegenta ukazały się pajacowate sylwety obu panów Kempnerów. Z lewej strony stanął Gabrjel, z prawej zaciągnął wartę Stanisław, tworząc niemą wymowę żywego obrazu o niesłychanej zaiste gracji.

— Po co tych dwóch kapcanów tam wlazło?— szepnął ktoś na sali.

— Oni, widzisz pan, chcą brać w pacht Lednickiego!—odpowiedział ktoś inny równie tłumionym szeptem, i niewiadomo czemu kurczowo jął zaciskać palce.

Czy ten „ktoś“ był także antysemitą?

Dla nas, jak i dla całego ogółu polskiego, nie ulega wątpliwości, że źródłem zarazy antysemickiej u nas jest właśnie *Nowa Gazeta*, która przez fatalny dobór swych kierowników manifestuje zawzięcie to co w naturze żydowskiej bywa najmniej pociągające. Nikt oddawna imienia męczeńskiego ludu Izraela nie obarczył takim piętnem poniżenia, takim wężowiskiem uprzedzeń i wstrętów ze strony tolerancyjnego z natury polskiego społeczeństwa, jak Stanisław i Gabrjel Kempnerowie. Gorszymi stali się oni wrogami żydów, niż Jeleńscy; straszniejszą są dla nich groźbą, niż Puryszkiewicze.

Jeżeli wszakże pan Stanisław Kempner i nadal nie przestanie deklamować swej wyuczonej filipiki przeciwko urojonej potędze polskiego żydożerstwa, tedy odpowiemy mu wzorem epigramatu, w jakim Puszkin unieśmiertelnił Bułgaryna:

Nie to jest złe, żeś jest semita:
Bądź Mośkiem, Srulem lub Chaskielem,
Nikt cię o paszport nie zapyta;
Bądź Stanisławem lub Urjelem:
Nie o to chodzi, żeś jest zerem,
Lecz to najgorsze, żeś—KEMPNEREM.

Wrażenia rzymskie.

Pewien warszawski dyplomata, bawiąc w Rzymie, w przeddzień wielkiego jubileuszu takie z ust włoskiego katolika usłyszał zwierzenia: —

Cieszyć bym się pragnął, a płakać muszę... Moja ojczyzna obchodzić ma radosną rocznicę swego zjednoczenia, a ja cieszyć się nie mogę!...

dr. Romana Komierowskiego, byłego posła do sejmu pruskiego i do parlamentu Rzeszy niemieckiej, poświęconą dziejom polskiej akcji parlamentarnej w Berlinie, która pod nagłówkiem: „Koła Polskie w Berlinie” omawia początki oraz działalność późniejszą posłów polskich zarówno w sejmie połączonym, jak również i w sejmie pruskim, powołanym do życia przez konstytucję z r. 1850.

Pracę swoją podzielił dr. Komierowski na trzy, rzec można, części. W części pierwszej charakteryzuje autor protokóły posiedzeń Koła Polskiego, przytacza najciekawsze z nich wypisy oraz przedstawiając sylwety posłów polskich, uwydatnia wartość jednych dla zewnętrznych, innych dla wewnętrznych prac Koła.

Część druga całkowicie jest poświęcona okresom wrzeń rewolucyjnych od r. 1847 do r. 1849, w którym to czasie określony ostatecznie został zakres konstytucji pruskiej, parlament frankfurcki został rozbity, wypadki poznańskie skończyły się kapitulacją murzynowską oraz rozwiązaniem poznańskiego komitetu narodowego. Dr. Komierowski aczkolwiek nie wyczerpująco, przedstawia naogół dokładnie dzieje ruchawki poznańskiej, przyczym nie brak ciekawych przypisów, zawierających wyciągi z ówczesnych odezw polskich i niemieckich.

W części trzeciej, najobszerniejszej, autor omawia właściwe początki polskiej akcji parlamentarnej w Berlinie oraz w dalszym ciągu, po ostatecznym zorganizowaniu się posłów polskich w osobne grono, przedstawia samą akcję polską na terenie parlamentarnym, to jest w sejmie pruskim i w izbie panów. Część ta, traktowana wedle lat poszczególnych, przedstawioną jest na tle ważniejszych wypadków zarówno ogólno-politycznych, jak i specjalnie pruskich a zwłaszcza krajowych, jakie zaszły w Ks. Poznańskim, Prusach Zachodnich i na Śląsku Górnym. W poszczególnych rozdziałach tej części pracy dr. Komierowskiego zarysowują się wyraźnie polityczne postacie tak wybitnych polskich działaczów parlamentarnych w sejmie pruskim, jak późniejszy biskup ks. Janiszewski, August hr. Cieszkowski, dr. Karol Libelt, Gustaw Potworowski oraz interpelant w słynnej sprawie prowokacji Baerenspronga, prezydenta policji poznańskiej— dr. Wł. Niegolewski.

Pomimo, że jak powyżej niejednokrotnie zaznaczyliśmy, autor traktował pracę swoją na podłożu ogólnym, to jednak, ze względu na to, iż dzieje polskiej akcji parlamentarnej muszą być omawiane na tle ogólnego ruchu politycznego i to w jaknajszerszym słowa tego znaczeniu, pracy dr. Komierowskiego brak zaprawdę szerokiego oświetlenia dziejowego. Do pewnego stopnia tłómaczy autora kronikarski charakter jego dzieła.

Z tym jednak brakiem jest praca powyższa bardzo ciekawym przyczynkiem do dziejów politycznych zaboru pruskiego, tym cenniejszym, że wogóle mało nader mamy prac, poświęconych tej lub pokrewnym kwestjom. Dr. Komierowski zapowiada wydanie wyboru polskich mów sejmowych, które uzupełni omówioną powyżej książkę, oraz wyraźniej przedstawi zabiegi polskie na arenie sejmowej w Berlinie około najważniejszych zagadnień naszego życia narodowego w zaborze pruskim w połowie zeszłego XIX stulecia.

J. F.

Listy z Krakowa.

II.

Wybory do Rady miejskiej.

Ruch wyborczy rozigrany w pełni. Chodzi wprawdzie tylko o Radę miejską, ale panowanie nad miastem to złoty interes wiodący jeżeli nie do pobocznych dochodów, to do rozmaitych prebend, znaczenia, stosunków i wpływów. Dzienniki przeto wszelkiej barwy staczają bój zacięty o kandydatów, wytykając przeciwnikom istotne i niepopełnione błędy, a Gazeta Poniedziałkowa wydaje nawet od sześciu dni nadzwyczajny dodatek p. t. korespondencji wyborczej.

Przy dotychczasowych wyborach radcy grupowali się podług stronnictw politycznych, wśród których przewagę mają w tej chwili postępowi demokraci.

„Ow co to mówił — wyjaśnia p. Gostomski — może jak nikt we Włoszech dzisiejszych zdolny byłby wyrazić zbiorowe swych rodaków uczucia patrjotyczne, a oto wskutek trwającej wciąż w zjednoczonej politycznie ojczyźnie włoskiej wewnętrznej rozterki duchowej, skazany jest na przymusowe milczenie, zamiast zagrzmieć rozgłośnym na kraj cały hymnem radości, w ciszy i skupieniu własnego serca, krwawemi musi płakać łzami.

„Za wiarę i ojczyznę!” — brzmiało ongi hasło bohaterskich naszych ojców. Dzisiaj tu, we Włoszech — i nietylko we Włoszech — wiara i ojczyzna, to jakby dwa przeciwieństwa, nieomal dwa nieprzejednane wrogi — i taki oto, jak wyżej wspomniany, szlachetny a wierny żołnierz milicji Chrystusowej nie może być zarazem czynnym bojownikiem milicji ojczystej, choć całym sercem ku niej się wyrywa”.

Ta głęboka rozterka dwóch motywów — ojczyzny i wiary — zaznacza się na ziemiach polskich z niepohamowaną siłą, boć i nasze stosunki podobne są do włoskich, z tą jedynie różnicą, że tu żołnierz milicji papieskiej tryumfuje i włada, a żołnierz sprawy ojczystej zacina z bólu zęby... I dlatego rzymskie uroczystości, choć zdala od nas, tak fascynujące, pokrewne mają znaczenie, że p. Gostomski dodaje z domieszką melancholji: „Trudno się obronić sprzecznym myślom, wobec sprzecznych wrażeń, jakich się tu w danej chwili doznaje, szczególnie, gdy się wspomni szerokie, powszechne ich znaczenie, daleko sięgające poza obręb narodowych i kościelnych stosunków włoskich”.

Niebawem jednak przypomina sobie nasz autor, że przecież „Listy Rzymskie” czytać będzie bogobojna publika kurjerków, że nadto wypada mu uzyskać rozgrzeszenie za podróż do Włoch w terminie zakazanym, przeto strofuje w dalszym ciągu „bezwyznaniowy objektywizm odbóstwionego państwa”, który go razi „wielką głuchą próżnią religijną, ziejącą z jego głębin” co jest przecież rysem wybitnym współczesnych demokracji.

Pewni nasi publicyści na obczyźnie, zaopatrzeni w duży zapas złota, kadzidła i myrrhy, przypominają trochę bizantyńskich kmieci, co to wchodząc do cudzego domu pierwszym odruchem szukają oczyma uświęconego kąta, by trzy tradycyjne pokłony wykonać... Jest to również rodzaj tych księżych gospodyń, unieśmiertelnionych przez ks. Zimmermanna, które w wielkich miastach Zachodu dwie tylko widzą rzeczy, godne uwagi: ilość i rozmiar kościołów tudzież ceny artykułów spożywczych. Wszystko inne „zionie” wielką głuchą próżnią.

P. Spokorny ma szczęście.

Szczery kult podziwu, jaki otacza twórcę konsorcjum tramwajowego, wzmógł się jeszcze naskutek ostatnich wystąpień *Now. Wremieni.* Organ p. Su-

Jak wiadomo, nawet prezydent Leo, dawniej konserwatysta, przyłączył się do tej grupy. Narodowi demokraci, bardzo słabi w Krakowie, nie stanowią oddzielnego stronnictwa, ale grupowali się dotąd pod wspólnym demokratycznym sztandarem.

W kraju, tak jak Galicja rozpolitykowanym, ściśle polityczne platformy przy wyborach do rady miejskiej są zjawiskiem normalnym i zrozumiałym, stanowiąc niejako gwarancję ideowości walki. Nie da się jednak zaprzeczyć, że polityka miejska nie powinna stać w zależności od postulatów żadnego stronnictwa. Postulaty ekonomiczne, oświatowe a zwłaszcza ogólno kulturalne powinny być przeprowadzane, jako wyraz potrzeb i żądań grup społecznych, a niekiedy ogółu, niezależnie od różnych przekonań jednostek od tych grup zależących. Przemysłowcy, kupcy, rękodzielnicy zgromadzeni w izbach handlowych, przemysłowych i rękodzielniczych posiadają zastępstwo swych interesów ekonomicznych i upomnieć się mogą o ich każdorazowe pokrzywdzenie. Inaczej było przecież dotąd z zastępem urzędników, profesorów, nauczycieli.

I tu głośniej niż dotychczas przemówić musiał interes ekonomiczny, samoobrona budząca się pod wpływem wzrastającej drożyzny.

Na tle ogólnie odczuwanej nędzy kiedy niekiedy występuje też do walki wyborczej o mandaty radzieckie nowa formacja. Koło urzędników, profesorów i nauczycieli na podstawie apolitycznego programu, nawołuje do łączności w imię wspólnych interesów ekonomicznych i kulturalnych, nie żądając od nikogo politycznego wyznania wiary.

Ukazanie się tego koła to najciekawszy moment obecnych wyborów.

Nowe koło tworzy się w łonie kurji inteligencji która wybiera tym razem 10 radców, a uprawnionych do głosu liczy 5,488 wyborców. W tym liczy się prawie 3,800 urzędników, profesorów i nauczycieli, około 600 osób należących do zawodów wolnych (adwokatów, lekarzy, aptekarzy, literatów, techników i t. d.) oraz do 1,000 osób, które w tym kole głosują z racji opłacenia podatków osobisto-dochodowego ponad 32 korony, a więc kapitalistów, rentjerów, właścicieli dóbr i innych osób wpływowych, a nie mających wspólnych z urzędnikami interesów. Liczebność warstwy urzędniczo - pedagogicznej i pomimo różnego poziomu dochodów wspólne warunki bytu, polegające na stałych powoli rosnących dochodach, na nadmiernie wysokich potrzebach kulturalnych i reprezentacyjnych, przemawia za możnością i niezbędnością jednolitego zastępstwa ich interesów.

Mają oni również prawo niezaprzeczone decydować o sprawach miasta i kraju, jako warstwa opłacająca największą kwotę podatku osobisto-dochodowego w Krakowie. W r. 1908 dochód podlegający opodatkowaniu w mieście naszym opiewał na *tysięcy* koron

z poborów służbowych	14,792
z przedsiębiorstw	11,014
z kapitałów, budynków, posiadłości gruntu i in.	11,793

Trudno tu nie zauważyć, że takie ustosunkowanie dochodów jest specjalnością miast galicyjskich, gdzie się kapitały kryją, przedsiębiorstwa są zawsze zjawiskiem rzadkim — formacją przyszłości, a gros „zamożniejszej" acz bardzo niezamożnej ludności stanowią głodni awansów i zależni urzędnicy. Poza nimi zaś przeszło 90% mieszkańców, których dochody nie dorastają tego minimum (1,200 kor.) powyżej którego opłaca się podatek osobisto-dochodowy. Wszystko to przecież przemawia za samoobroną interesów urzędniczych.

Organizacja wyborcza urzędników, profesorów i nauczycieli stała się możliwą dzięki istniejącemu od lat paru „Związkowi, ekonomicznemu", który grupuje 1,800 członków, wyrabia im zniżki przy zakupnie węgla, mięsa, pieczywa, gromadzi i ogłasza firmy, dla członków ustępujące rabaty, a obecnie otwiera kooperatywę spożywczą.

Przyznając rację bytu nowej formacji, słusznie obawiać się trzeba, czy oprócz przyśpieszenia reform już zapoczątkowanych wniesie ona do życia miasta istotne wartości, a nie drobne przetargi i czy leży jej na sercu reforma statutu, któraby dała prawo głosu robotnikom.

D-r Z. Daszyńska-Golińska.

---

worina odsłonił wprawdzie rzeczy, nad którymi warto się zastanowić, ale że cieszy się u nas zasłużoną zupełnie antypatją, przeto prasa nasza, by podkreślić jego głos chrapliwy, zataiła oddech i chodzi na paluszkach dokoła całej sprawy, zaś p. Spokorny miał łatwe i wdzięczne zadanie uporać się bez trudu z wrogiem zewnętrznym na patrjotycznym i przyjaznym dla siebie terenie.

Ma szczęście p. Spokorny! Bo oto p. St. Skarzyński, dawny jego rywal, grzeczne na szpaltach *Kur. Warsz.* czyniąc rewerencje, składa hołd „doskonałej organizacji i wzorowemu wykonaniu tak robót, jak i eksploatacji" tramwajów warszawskich.

Ow zachwyt nie jest jednak bez *ale*. Według miarodajnego zdania p. Skarzyńskiego, źródło wielkich zysków obecnego konsorcjum kryje się prawie wyłącznie „w niewykonaniu przez magistrat pierwotnego zakresu robót, jakie były projektowane co do całości sieci tramwajowej.

Miano zbudować *początkowo* i *zaraz* 53 wiorsty tej sieci, wykonano zaledwie 35.

Rozumie się, przecięto linjami relsowymi centrum najruchliwsze i najbogatsze miasta.

Obecnie Tow. tramwajów i kasa miejska zbierają śmietankę z przedsiębiorstwa tramwajowego".

35 zamiast 53! Jakie to proste! Dość odwrócić dwie liczby, aby latami całymi zbierać „śmietankę" w postaci krociowych dywidend.

Jeśli dodamy do tego drożyznę naszych tramwajów, brak biletów korespondencyjnych, mnogość sekcji, uparte wzdraganie się przed rozszerzeniem linji w mieście i poza miasto oraz przeciwdziałanie obcej inicjatywie w tym względzie — wówczas jasnym się staje, że aczkolwiek p. Spokorny ma szczęście do Warszawy, to Warszawa bynajmniej nie ma szczęścia do p. Spokornego.

P. Koziarski w niełasce.

W naszych pozytywnych i bezbożnych czasach dziwnym jest wyjątkiem ten mąż świątobliwy, który oddał się cały zaspokojeniu duchowych potrzeb społeczeństwa i założył w mieście naszym ruchliwy kantor pielgrzymek tudzież bazar środków cudownych.

Dopóki p. Koziarski w intymnej zgodzie z konsystorzem ekspedjował tysiące wiernych do miejsc świętych i sprzedawał różnego kształtu fetysze — wielka jasność była na jego licach, a przez palce przepływał wartki potok złota.

Lecz oto pęd jego obfity przycichł i zwolniał.

Ukaz papieski, odwołując w r. b. wszelkie pielgrzymki do Rzymu, ugodził p. Koziarskiego boleśnie w kieszeń. Słodki nałóg złotobrania okazał się jednak mocniejszy od nakazów papieskich; mimo całej swej pobożności p. Koziarski pomyślał, że wszystkie drogi prowadzą do Rzymu — i oto zamiast „pielgrzymki" zajął się ekspedycją „wyprawy obywatelskiej" do wiecznego miasta.

Niebaczny! Rozpętał przeciw sobie wszystkie furje klerykalnych zaścianków; w jednej chwili stracił

Naród a Klasa.

I.

Jest ogromnie ciekawym śledzić, jak się w ostatnich czasach wszystkie ważniejsze dyskusje i spory, wszystkie zagadnienia życia publicznego w Polsce, na tle kwestji *narodowych* rozwijają, jak zwolna, ale ostatecznie na pierwszy plan przebijają się w życiu tym problemy narodowościowe i narodowe, pozostawiając ze sobą lub idąc co najwyżej równorzędnie z kwestjami i reformą *społeczną*. Można ten moment uważać za istotny, cechujący ideologję naszą z lat ostatnich.

Po 63 r., jako etapie wzmożonego czucia narodowego, program pracy organicznej i pierwsze ruchy socjalistyczne żyły raczej pod znakiem zagadnień społecznych, niż narodowych. Oczywiście, nie zawsze da się przeciągnąć granicę między tymi pojęciami. Owszem, rozwój ekonomiczny np. ziem polskich, jedno z haseł pozytywizmu po 63 r., jest ideą tak samo społeczną jak i narodową. Co więcej nawet: próba rozwiązania zagadnień gospodarczo - społecznych, w duchu pewnej teorji, socjalistycznej choćby może być także i narodowym ujęciem kwestji, gdyż niewątpliwie to, do czego dąży każda prognoza przyszłościowa (a tym jest w świetle nauki: socjalizm, jako teorja), t. j. możliwa suma szczęścia zbiorowego i jednostkowego, jest także i celem narodowego dążenia. Zdaniem naszym, trudno byłoby znaleźć i umotywować jakąkolwiek sprawę narodową bez przesłanek społecznych i na odwrót, w dzisiejszym rzeczy ukształtowaniu jedynie sztuczne, apriorystyczne schematy społeczne mogą zapoznawać momenty narodowe i zdala od nich konstruować swe cele i środki do nich wiodące. Życie narodowe tym schematom kłam zadaje i pozostawia je poza nawiasem swoim: martwe, scholastyczne i obce.

Nie znaczy się to bynajmniej, by zagadnienia par excellence *społeczne* znalazły w Polsce swe rozwiązanie, zgodne z tendencją naukową i życiową spółczesnego rozwoju, owszem, jest raczej u nas na każym polu kultury zbiorowej całe mnóstwo spraw, czekających na swe konieczne i nieuniknione spełnienie spraw o charakterze społeczno- i gospodarczo-prawnym, ale warunki naszego położenia politycznego, jak niemniej ważne warunki naszego położenia... wewnętrznego, więc stosunek nasz do narodów i pseudonarodów, zamieszkujących ziemie polskie, zmusza instytucje i ludzi w Polsce w rozwiązaniu czy nawet ujęciu kwestji przedewszystkim społecznej, szukać spełnienia założeń *narodowych*, skojarzenia z tymi ostatnimi, jako nakazem naczelnym, wszelkich reform i planów społecznych. Inaczej być nie może.

W warunkach, w jakich żyjemy, każdy zaczyn społeczny, każda działalność w kierunku podniesienia poziomu społecznego, może napotkać na przeszkody znaczne, ze strony tych wszystkich czynników, a jest ich coraz więcej zewnątrz i wewnątrz organizmu polskiego, którym z rozmaitych przyczyn zależy na powstrzymaniu pędu, niepowstrzymanego niczym. Punkt narodowy widzenia leży więc nie w tym, że się zagadnienie społecznych reform uważa za drugorzędne i uboczne, nie we frazeologji „hasłowej”, dobrej, co najwyżej, jako „pobudka” agitacyjna, nie w pokrywaniu nawet krzywd i bolączek wewnętrznych ideałem „zewnętrznym”, dalekim od realizacji dziś jeszcze, a w tym, że się świadomie pracuje nad wzmożeniem organizacji i kultury polskiej, że więc o tyle tylko przedstawiać może kwestję społeczną, potrzebę palącego jej zaspokojenia i rozwiązania, o ile pewni jesteśmy, że wszystkie nasze w tej mierze usiłowania skierowane będą do uzyskania możliwego maximum zdobyczy dla kwestji polskiej.

Kwestje więc społeczne, gospodarcze, państwowo-prawne, zawsze stanowić będą rdzeń życia publicznego w Polsce, i to w wzmożonej bardziej niż dziś oczywiście ekspresji, ale póki grożą nam możliwie ujemne warunki zewnętrzne rozwoju, jak i zarówno dotkliwa wewnętrzna szarpanina z dawnymi sprzymierzeńcami historycznymi, a dzisiaj śmiertelnymi wrogami, dopóty nie może być u nas kwestji społecznej, więc kwestji zbiorowego życia, którejby ujęcie, przeprowadzenie i zachowanie mogło w „rachunku i planie” nie liczyć się z przesłankami narodowymi, z prawem nawet „konieczności narodowej”, każącej wybierać

---

p. Koziarski nimb niepokalanej świętości, zachwalane przedtym leki przestały nagle skutkować, cudowne jego fetysze, bałwanki, amulety stały się pono zupełnie bezsilne, a balsam, który miał jakoby wszystkie naprawiać kalectwa—okazał się wodą gorzką Franciszka Józefa...

Nad głową świątobliwego męża zawisły czarne chmury.

P. Jackan w opałach.

Inny warszawski cudotwórca — tym razem z Nalewek — również dotkliwej doznał klęski.

Niemniej od p. Koziarskiego pobożny i ruchliwy redaktor *Hajnt'a* wyruszył niedawno do Palestyny na czele doborowego hufca abonentów, przy odgłosie surm i bębnów bogobojnego Izraela... Miłe były początki, lecz koniec żałosny: tryumf p. Jackana, kulminujący w Warszawie, na dworcu kolei wiedeńskiej, rozwiał się rychło — w Jerozolimie, mieście widać o wiele mniej żydowskim od syreniego grodu.

Skoro bowiem p. Jackan, na jakimś zebraniu, zechciał popisać się wobec tubylców pięknym żargonem i ortodoksją wiary mojżeszowej — powstał niebywały tumult. Dziwnym zrządzeniem losu, jerozolimskie czysto hebrajskie audytorjum przyjęło melodyjny żargon p. Jackana za osobistą dla siebie obrazę, zaś jego żarliwość pobożną, tak popularną w Warszawie, nazwano bez ogródek szaleństwem, zacofaniem, głupotą.. Koniec końcem redaktor *Hajnta* został na ziemi świętej wyśmiany, wygwizdany i okryty niesławą, co mu jednak nie przeszkodzi grać nadal wybitną na Nalewkach rolę.

Oto jeszcze jeden ze smutnych naszych paradoksów: zacofane i ciemne żydowstwo, które odstręcza i razi własnych po świecie współplemieńców zupełnym brakiem kultury — domaga się tutaj krzykliwie swoistej „autonomji” by swój brak kultury podnieść do poziomu zasady i utrwalić po wieczne czasy. I niechże nas p. Jackan nie pomawia o żydożerstwo i tendencje „pogromowe”; ten motyw już nie skutkuje od chwili, kiedy p. Jackana „pogromiono” w świętym mieście Jerozolimie.

Djalektyk chaosu.

„Czy jest coś straszniejszego nad ogień? — Ale, zarazem, czy istnieje coś piękniejszego nad ogień? — Czy jest coś wyższego nad religję? Czy jest coś niższego nad pohańbienie religji?”

Wzniosłe te aforyzmy nie pochodzą bynajmniej z pensjonarskiego sztambuchu panny Mici.

Wygłosił je uroczyście p. Tadeusz Miciński z trybuny odczytowej d. 8 b. m. w sali *Stow. Techników*, wobec licznie zgromadzonej publiczności.

Autor „Nietoty” posiada zdumiewającą wielość osobowości: w pewnej chwili przedstawia się nam jako „bóg bez wieczności”, aby zaraz potym przeobrazić się w „skamieniałego druida”; niespodziewanie wystąpi jako „król bez korony”, by już po chwili ukazać twarz ascety „zczerniałą od męki”.

w kolizji korzyść i zdobycze własne, byleby oczywiście w drodze innej, niż z nami postąpiono.

Przykładów nasuwa się w każdej dziedzinie dużo. Znany jest w najogólniejszych zarysach żywiołowy ruch parcelacyjny w Galicji zachodniej i wschodniej, zmieniający w tempie nader szybkim układ własności ziemskiej na korzyść własności chłopskiej. W przeprowadzeniu tego niesłychanie ważnego zadania, które nam może dać zdrowy stan „kmiecy", o gospodarstwach skomasowanych, obszarze, zastosowanym do kultury uprawnej i wymagać wogóle racjonalnej gospodarki rolnej,—o jakiego nam może chodzić chłopa: polskiego, czy ruskiego? Niewątpliwie nic leży w naszym interesie narodowym, by „kolonje" polskie we wschodniej Galicji otoczone były nędzą i niedorozwojem kulturalnym chłopa ruskiego, owszem, nietylko względy ludzkości ale i względy wzajemnego spółżycia, zależność gospodarcza wzajemna, więc siła kupna po stronie konsumentów chłopskich, tak dla polskiego przemysłu (prócz luksusowego) ważna, robocizna lepsza etc. etc. nakazują nawet do pewnego stopnia, tam, gdzie nie zagraża to majoryzacji interesów polskich, dbać o rozwój kulturalny i gospodarczy chłopa ruskiego i trzeba przyznać, że w tej mierze polskie organa administracyjne i przedewszystkim sędziowskie wiele i skutecznie zdziałały i uczynią jeszcze mimo zaostrzenia stosunków obecnych. Ale i na tym kończy się harmonja interesów wzajemnych.

Obywatel ziemski, parcelujący ziemię we wschodniej Galicji między chętnych i wiecznie głodnych ziemi chłopów—gospodarzy, ma do wyboru najczęściej nabywców polskich i ruskich. Obowiązkiem jego narodowym, często sprzecznym z interesem osobistym (osiedli stale chłopi więcej dają za ziemię — niż przybysze) jest tam, gdzie znajduje się poważna mniejszość polska, mniejszość ową polską zwiększyć, o ile możliwe, a w każdym razie z rąk polskich ziemi nie wyzbywać. Bądź co bądź parcelacja majątku ziemskiego, będącego w ręku polskim, nie powinna prowadzić do zmniejszenia polskiego „stanu posiadania" na rzecz ruskiego. Więc parcelujący ziemię obywatel ziemski winien dobrze o tym pamiętać i uwzględniać przy parcelacji przedewszystkim nabywców polskich, mieszkających już w okolicy lub sprowadzonych w tym celu z zachodniej części kraju „kolonistów". których nie braknie, wobec postępującego drobnienia „działów" rodzinnych i popytu szalonego za ziemią wśród chłopstwa polskiego. Kwestja więc tak par excellence gospodarczo-społeczna, jak parcelacja może w pewnych warunkach zewnętrznych przedstawić się, jako sprawa polityczno-narodowa i z tego punktu widzenia także może i winna być rozwiązaną. Chodzi nietylko o to, aby stworzyć przy parcelacji zdrowe, racjonalne jednostki gospodarcze, ale i o to, aby owe jednostki gospodarcze przeszły z rąk parcelujących polskich w ręce chłopskie polskie, aby więc stan narodowy nie umniejszył się. I z tego punktu widzenia można na zarzuty, iż „polscy hakatyści" myślą i działają jak prusy z komisji kolonizacyjnej odpowiedzieć, że racja polska dąży nie do jakiegoś sztucznego powiększenia swych praw i posiadania kosztem praw i posiadania drugiego narodu, ale że jedynie chodzi jej o utrzymanie dotychczasowego stanu wpływów, własności i władzy, ale i także obowiązków, pracy cięższej na kresach, niż w kompleksach rdzennie narodowych, że więc najbardziej nawet humanitarna polityka nie może *rezygnować* z „praw dobrze nabytych". A prawa owe, mimo zaprzeczeń, były dobrze nabyte i to wszystko, (niewiele zresztą), co wieś ruska do niedawna miała dobrego i postępowego, było dziełem polskich władz, polskich obywateli ziemskich, polskich nauczycielek i nauczycieli.

A tak samo lub podobnież jest w wielu względach życia publicznego w Polsce. Koło polskie w delegacjach austryjackich przyzwala głosami swych przedstawicieli na znaczne powiększenie wspólnych (Austrji i Węgier) wydatków wojskowych (budowa okrętów etc). Niewątpliwie dla wszystkich stronnictw, stojących choćby na razie na gruncie państwowości austryjackiej, a więc i „delegacji" polskiej jasnym jest, że jeśli Austrja nie ma pozostać w tyle poza mocarstwami spółczesnymi w organizacji wojskowej, to

---

Czy epitety owe, przez samego autora dobierane, trafnie malują charakter jego, — nie wiadomo. To pewna, że wymieniane po sobie, rymują się ze sobą doskonale, dając piękne efekty fonetyczne. Czy jednak, poza eurytmją językową, utwory p. M.-go posiadają jakąkolwiek inną wartość artystyczną, naukową lub społeczną, krytyka literacka jeszcze nie roztrzygnęła.

Jedno zda się nie ulegać wątpieniu: p. Miciński potrafi pisać wiersze wedle dowolnego wzoru architektonicznego: kształtuje strofy w taki sposób, aby układały się z nich przeróżne postaci graficzne, gieometryczne lub symboliczne. Tworzy on nieraz poematy, z których napróżno czytelnik usiłuje wyssać jakąś treść myślową lub wzruszeniową. Po długich dociekaniach poznaje on dopiero, że wartość utworu spoczywa gdzieindziej: np. szukać jej należy w tym, że konfiguracja wierszy przypomina *kształt krzyża* (patrz: *W mroku gwiazd*). Pan Miciński jest na tym polu wirtuozem o wiele sprawniejszym od Ela. Niezawodnie bez trudu umiałby on też napisać odę, dajmy na to, w kształcie wodotrysku, albo chorał w postaci monstrancji.

Czyż mamy dodawać, że u nas, w Polsce, każdy, ktokolwiek w życiu popełnił dwa sonety, poczuwa się już do wyższego posłannictwa w narodzie? Ten zaś kto wypocił z siebie tak grubą pełną galimatjasu książkę jak *Nietota*, czuje się upoważnionym nietylko do rozstrzygania wszelkich zagadnień w ostatniej instancji, ale co najważniejsza, do bezpośredniej „komunji z kosmosem", czyli do poufnych konferencji na cztery oczy z Panem Bogiem.

P. Miciński postanowił za jednym zamachem roztrzygnąć węzeł współczesnych zagadnień religijnych, tak boleśnie dręczący pokolenia obecne.

Nie wie on wprawdzie, czym jest religja, ale to nie przeszkodziło mu przyoblekać swych twierdzeń w formę najbardziej stanowczą. Z odczytu wynieśliśmy, w pozytywnym jego zakresie, nie wiele więcej ponad wiadomość, że „religja jest czymś tak głębokim, jak krew (?) i tak jednocześnie wysokim, jak szczyty gór niknące nam z przed oczu". Przy sposobności p. Miciński rozprawił się także z kwestją wątpliwości istnienia Jezusa, jako człowieka na ziemi. Zaprzeczanie ziemskiego żywota Chrystusa przez niektórych badaczy wydaje się p. M., równie jak biskupem naszym bluźnierstwem. Ci, którzy rodowód Syna Człowieczego przenoszą z padołu ziemi na wyżyny nieba, którzy kołyskę bożego Dzieciątka z obory Betleemskiej przenieśli między gwiazdy i słońca, zdaniem poety naszego, dopuszczają się rzeczy trywjalnych, poprostu— szargają świętości.

Doprawdy, pomyśleć możnaby, że w imaginacji poetów naszych z obrazów Ewangelji utrwalił się jedynie osieł betleemski, składający hołd Barankowi, który gładzi pono wszelkie grzechy świata, z wyjątkiem — grzechu głupoty.



musi ona volens nolens brnąć dalej w wydatki wojskowe, gdyż w razie nie uchwalenia ich i nie podążenia krok w krok za wymogami chwili w tej mierze, przepadną i poprzednie wydatki i inwestycje na ten cel poniesione, jako bezwartościowe już wobec potęgi innych „kolosów mocarstwowych".

To jest stanowisko racji „austryjackiej". Racja polska będzie wymagała ścislego połączenia obu tych czynników, ogólno państwowego i narodowego i jedynie w przypadku uwzględnienia postulatów krajowo - narodowych, może się zgodzić na poparcie wymogów państwowych. „Delegacja"polska winna to jeśli nie przeprowadzać, to przynajmniej *podkreślać* zawsze; nie chcemy przykładów mnożyć dla obrony poglądu, tak oczywistego, jak ten który tu przedstawiliśmy pokrótce. Powie nam jednakże zwolennik Marksowskiej walki klas, że punkt narodowy w traktowaniu zjawisk ekonomicznych jest fikcją. Cóż bowiem łączy fabrykanta czy agrarjusza polskiego, z robotnikiem i wyrobnikiem polskim? Czyż raczej między nimi nie toczy się zacięta walka klasowa, urągająca „burżuazyjnej" jedności narodowej, a owszem hasło manifestu „proletarjusze wszystkich krajów łączcie się", znamionuje łączność międzynarodową klas robotniczych, przejętych spólnością interesów czysto gospodarczych?

Nie sądzę, iżby to w czym zmienić mogło nasze założenie. I owszem łączność taka sprawiająca spółmierne dążenie narodowe między różnymi „klasami" w narodzie istnieje niewątpliwie i to nie jako wynik sentymentów uczuciowych, ale jako realny zgoła czynnik społeczny. Spróbujcie w kraju o stosunkach roboczych (podaż i pobyt pracy) normalnych, więc takich, gdzie nie ma jaskrawych braków w podaży pracy, a gdzie jest dość duże zapotrzebowanie jej ze strony robotników, sprobujcie tam sprowadzić robotnika obcego, nie tylko Chińczyka ale i czystej krwi Europejczyka! Międzynarodowa spólność interesów ustąpi tam na pewno zgoła zażartej walce robotników należących do narodowości różnych, więc walce o byt ekonomiczny. Kategorje ekonomiczne nie zawsze służą obronie „sprawy międzynarodowej", owszem z wielu z nich drogą wprost lub pośrednią można dojść do rezultatów wprost przeciwnych, więc do założeń narodowych. Pozatym w życiu ekonomicznym nie rozstrzygają, jak wogóle w zjawiskach społecznych, kategorje wyłącznie gospodarcze, niema wprost takiego zjawiska gospodarczego, któreby zrozumieć, ocenić i przyjąć można było jedynie na tle przesłanek ekonomicznych; wchodzi wszak w zjawiska te człowiek pełny, daleki od pojęcia sztucznego „homo oeconomicus", człowiek, który może *przeważnie* ulegać motywom postępowania gospodarczym, ale który *jedynie* tym motywem powodować się może tylko w zgoła aprioristycznych konstrukcjach książkowych *dawnej* nauki ekonomicznej.

Dr. Leon Biegeleisen.

BELETRYSTYKA.



Przypowieść.

Spotkali się dwaj poszukiwacze szczęścia i rzekł jeden do drugiego.

— Mój przyjacielu, powiedz mi, co ty myślisz o życiu?

A drugi na to:

— Myślę, że życie jest złośliwą zagadką, bowiem szukam w nim szczęścia i znaleźć nie mogę ..

— Z ust mi wyjąłeś — radośnie zawołał pierwszy — jednak mądrzej by było, gdybyś tak powiedział: „W życiu szczęścia niema, ja zaś jestem złośliwą zagadką, bowiem go szukam".

— Mylisz się, — zaprzeczył drugi — szczęście jest poza obrębem chwili, w której się rozstrzyga, co to jest szczęście, a przeto istnieje w życiu!...

— Ślicznie!... Lecz, gdzież jest owa chwila, poza obrębem której rozstrzyga się — co to jest szczęście?...

— Właśnie, trzeba ją znaleźć, aby zaś znaleźć, trzeba zupełnie zapomnieć o szczęściu i szukać.

— Przedziwne — zawołał towarzysz — więc aby szczęście znaleźć, trzeba zupełnie zapomnieć o nim i szukać?...

— Tak jest. Ja właśnie podążam w poszukiwaniu szczęścia, przeto jeżeli masz chęci nieco i odwagę — chodź ze mną...

— Z przyjemnością — zawołał drugi.—Właśnie o tym myślałem...

I poszli...

Przeszli wszystko, co mogli przejść, aż zagrodziło im drogę samo wszystko, które już przeszli... Było to morze myśli, serc i wszelkiej doskonałości...

I rzekł wonczas pierwszy poszukiwacz do drugiego:

— Mój przyjacielu... poczynają się drogi indywidualne... Musimy się rozstać...

— Radź sobie po swojemu — ja własne sposoby wyzyskam.

A na to drugi.

— Trudno...

I rozstali się.

Długo jeden drugiego nie widział, ani o nim słyszał, ani widzieć pragnął, aż znowu spotkali się dwaj poszukiwacze szczęścia...

. . . .

I tak rzekł martwy poszukiwacz szczęścia do martwego:

— Mój przyjacielu, powiedz mi, co ty myślisz o życiu?...

A drugi na to:

— Myślę, że życie jest złośliwą zagadką, bowiem nie szukałem w nim śmierci... a znalazłem...

— Z ust mi wyjąłeś — radośnie zawołał drugi-- jednak mądrzej by było, gdybyś tak powiedział: „W życiu jest śmierć, ja zaś jestem złośliwą zagadką, skoro jej nie szukałem".

— Mylisz się — zaprzeczył drugi — Śmierć istnieje tylko poza obrębem chwili, w której się rozstrzyga pytanie, po co jest życie?...

— Ślicznie!... Lecz gdzież się ta chwila znajduje, mój przyjacielu?...

— Właśnie trzeba ją znaleźć, jesteśmy na tej płaszczyźnie, gdzie jest sposobność ku temu... Podążam w poszukiwaniu celu życia, więc jeśli masz chęci i odwagę, chodź ze mną...

— Z przyjemnością — zawołał drugi — właśnie o tym myślałem...

I poszli...

. . . .

. . . .

Aż znowu rzekł pierwszy poszukiwacz szczęścia do drugiego:

— Mój przyjacielu, powiedz mi, co ty myślisz o... śmierci...

A drugi na to:

— Myślę, że śmierć jest złośliwą zagadką, bowiem szukamy w niej celu życia i znaleźć nie możemy...

— Z ust mi wyjąłeś — zawołał radośnie drugi— lecz mądrzej by było, gdybyś tak powiedział: „Celu dla nas niema, my zaś jesteśmy złośliwą zagadką, bowiem szukamy go uparcie"...

— Masz rację — zawołał drugi — lecz czemże jest w takim razie nasze szczęście?...

— Szczęście nasze jest w tym, iż nigdy się nie rozstrzygnie — co to jest życie...

— Ślicznie!... — lecz w takim razie pocóż jest śmierć?...

— Właśnie ona jest po to, żeby ją znaleźć, aby zaś znaleźć, trzeba... pamiętać o życiu i szukać.

— Przedziwne niekonsekwencje... Zresztą przypuszczam, iż najlepiej będzie, gdy wszystko zaczniemy od początku. Chodźmy więc szukać życia...

— Masz rację — zawołał drugi — właśnie o tym myślałem.

I poszli dwaj martwi poszukiwacze szczęścia na poszukiwanie życia...

Bruno Dymowski.

KRYTYKA.

Adam Szymański.

(W swym ostatnim szkicu p. n „Aksinja")

Autor *Szkiców* należy do szeregu tych nielicznych twórców, którzy nietylko żyją w naszej pamięci, ale wrośli nam w duszę, w krew, w tętno naszego życia.

Gdy na czoło nasze siądzie zaduma, to jest w niej nietylko smutek naszych osobistych przeżyć: jest w niej także coś z powiewu *jego* żałobnych skrzydeł. Gdy do ucha sny złote szepce nam tęsknota, to w szepcie tym pali się nietylko żar własnych naszych pragnień: drgają w nim także echa *jego* wizji, jego przeczuć, jego niepokojów. Taka bowiem jest „władza czarnoksiężka" poetów, że marzenia ich idą za nami wszędzie, przenikają w nasze najgłębsze sny, biją w uderzeniach serca, dźwięczą w czynach mocy.

Poeci uczą nas nietylko śnić i tęsknić, ale przedewszystkim uczą nas — czuć: uczą nas czuć i miłować, kląć, nienawidzieć i cierpieć.

A Szymański w każdym rzucie myśli, w każdym poruszeniu uczuć jest poetą, chociaż, być może, jednego wiersza w życiu nie napisał. Źródła artyzmu jego tkwią nie w technice wyrazu, ale w naturze ujmowania zjawisk i ludzi. Nosi on w duszy swej słońce poezji, i wszystko, na cokolwiek promienie tego słońca padną, przeistacza się w misterjum piękna.

Tym razem padły one na krainę dla nas, Polaków, szczególnie ciekawą: na kraj Lechji Moskiewskiej. Zatrzymały się wśród resztek dawnych, kiedyś niezmierzonych, a dziś jeszcze imponujących swą rozległością lasów, wśród plemienia, będącego niewątpliwie, nieodrodną krwią krwi i kością kości starego lackiego rodu.

„Na linji granicznej, — czytamy, — zlewów Dniepru i Wołgi, na obu pochyłościach wyżyn, tę linję tworzących: wschodniej, zroszonej dopływami wierzchowisk Oki i zachodniej, obejmującej zlew Desny z Sejmem, od wieków wieczystych, od czasów niepamiętnych rozsiadł się lud, o którego pochodzeniu kronikarz Nestor mówi: ...„a nad Desną i Sejmem osiedli Radim i Wjatka (Wętka) z rodami swymi; są zaś oni l a c k i e g o r o d u."

Rozpoczyna się ta cudna książka, będąca w istocie szczerozłotym poematem, niby jakiś opis krajoznawczy, albo studjum etnograficzne, aby w następstwie, już po kilku próbnych akordach, wznieść się do wyżyn pieśni, jak kwiat pyszny rozchylić się w słoneczny kielich upojenia i w końcu rozgorzeć hymnem wniebowstępnej ekstazy.

I w płomieniach tego hymnu, w świetlokręgu natchnienia, niby posąg pradawnych bóstw słowiańskich, staje postać Aksinji, bohaterska, wieszcza postać dziewczyny Lackiego rodu!

Kiedy skwar letniej spieki uznoi potem skronie i ramiona żeńców, kiedy upada w nich siła i mdleje wytrwałość, wtenczas ona, wysuwając się na czoło pracowników, z młodej dziewiczej swej piersi rzuca w upalny przestwór śpiew, który jak zdrój kryniczny rozlewa się wokoło, przenika do wnętrza dusz zniechęconych i budzi w nich energję, pada rosą świeżą na usta spieczone i poi je chłodem. Aksinja zna potęgę swego śpiewu; wie ona że cudem tego śpiewu krzepi całą wieś; zbrojna w swą pieśń, niby w djamentowy oręż, staje do walki z uciskiem żywiołu, do walki prowadzi lud swój, i wie, że w tej walce zwycięży.

Ale czyż wie ona, a raczej czyliż przeczuwa tajemnicą serca, że śpiew jej przetwarza i do głębin istoty zmienia i ją samą i ludzi nad którymi włada i cały świat ich pracy? Bo oto pod działaniem jej śpiewu znika na żniwnym zagonie twardy mozół pracy; z pochylonych twarzy znika udręka wysiłku. To już nie gorzki trud obowiązku. Śród złotych szumiących łanów praca żeńców przeobraża się w jakieś radosne święto, w obrzęd uroczysty, świat staje się świątynią, nakrytą niebem, jakby wiszącą kopułą. I pośród tej świątyni pól, pod kopułą rozwartego nieba, Aksinja stoi, niby kapłanka, śpiewem nieustannym niecąca w sercach ludzkich ogień zachwycenia...

„Pieśń cudowna, wiekami życia znojnego stworzona, a tak wszystkim bliska, rodzima, swoja, płynie z ust Aksinji ku pracującym, kojąca i krzepiąca, to smutna, to wesoła, to łkaniem rzewnym, to śmiechem pustym przepojona".

I ziszcza się to, co tylu umysłom wydaje się marzeniem niedościgłym.

„Tu w tym świecie malutkim, w głuszy wiejskiego pola, urzeczywistnia się ideał sztuki, tu bowiem jest ona dziś i wzniosłą, i powszechną. Tajemniczy węzeł pomiędzy twórcą i tłumem, nie ten sztuczny, przelotny, na chorobliwym przeczuleniu czy podnieceniu lub schlebianiu zbydlęconym instynktom ludzkim, ale na najszlachetniejszej potrzebie duszy ludzkiej oparty, zawiązuje się pomiędzy Aksinją i całą rzeszą pracującą".

Ona zaś sama, zdobywając się na entuzjazm śpiewu, niesie ponadto znój cięższy niż inni.

„Żnie ona z błyskawiczną szybkością, widać, że śpieszy się, aby odrobić coś, co jest jej twardym obowiązkiem, koniecznością, której pominąć nie można, ale ująwszy garść, już gdy się odchyli i złożywszy zboże na sierpie, zwraca się i idzie z nim, jest zupełnie inna. Choć to bowiem dziewka tak młoda, z tym zbożem długim i sierpem w ręku jest poważna, jak rodzicielka, a choć uboga najmitka — idzie — jak pani władna".

Jest to w jednej osobie służebnica i kapłanka.

Aby się przekonać o tym, na chwilę spójrzmy wraz autorem na nią wówczas, gdy śpiew swój zaczyna:

„Rumieniec wstydu, którym przed chwilą gorzała, gdy widziała, jak zewsząd po przez odzież znikomą ujawnia się jej ciało dziewicze, kształty starannie i wstydliwie przed wzrokiem ludzkim ukrywane, ów rumieniec znika, jak za dotnięciem różdżki czarodziejskiej, bo pieśń czarowna bierze ją w swoją moc tajemną. Wzrok dziewczyny, przed chwilą tak dotkliwie, tak srodze zasromany, błyszczy i płonie ogniem natchnienia. Ona już nie widzi, nie czuje, co się z jej ciałem dzieje, — nie widzi, że sama je obnaża, sierp ruchem gwałtownym zakładając na ramię, nie widzi spojrzeń dotykających jej ciało, bo całkowicie grąży się w swą pieśń, jej się wyłącznie oddaje, o niej tylko pamięta".

I patrząc na nią, tak żywą, tak plastyczną, tak nieśmiertelną, dajemy się olśnić i unieść cudnemu snowi poety.

„Patrząc na nią, mimowoli zaczynamy myśleć, że kiedyś przed wiekami, dziewki podobne do niej, z ta-

kim ogniem, z takim zapałem śpiewające naszym praojcom, rolnikom, zyskały swe prześliczne imię dziew, dew — istot duchem boskim owianych. One to, takie dziewki cudowne, były tym prastarym, najszlachetniejszym typem kapłanki żniw ludów rolniczych z którego dziś pozostała nam jedynie uboga przodownica nasza, wiankiem z chabrów i zbóż uwieńczona, a z którego Grecja, trudami niewolników żyjąca i wyradniejąca, już tylko bachantkę szumnych świąt winobrania, szałem lubieżnym przejętą, jedynie pielęgnuje i do kultu religijnego podnosi. I patrząc na nią, zaczynamy marzyć o czystych, natchniowych dziewkach przyszłości... dziewkach siłaczkach... ludzkość odradzających...

Książka Szymańskiego pozostawia w duszy czytelnika długie, niemilknące echa, jak odgłosy olbrzymiej puszczy, granie dalekich dzwonów, lub szept zwierzonej sercu drogiej tajemnicy.

Jan Tarczewski.

Wacław Makowski: **Zbrodnie, Kary i Sądy Wyjątkowe.** Warszawa, 1911. Nakładem *Społeczeństwa*, str. 182.

W naszej ubogiej prawnej literaturze powstało oryginalne pod względem treści dziełko p. Wacława Makowskiego. W swojej pracy autor bada psychologję pogwałcenia prawa, charakter przestępstw tak kryminalnych jak i politycznych. Rozwija teorję stosunku sądu do społeczeństwa w różnych czasach i na różnych szczeblach rozwoju kultury, przeprowadza analogję pomiędzy sądami zwykłymi a wyjątkowymi. Sąd zwykły, podług teorji autora, to nadspołeczna władza, której zadaniem jest zasada: lepiej 10 winnych uwolnić, niż skazać jednego niewinnego, gdy tymczasem sąd wyjątkowy jest podporządkowany ściśle „interesowi społecznemu", pojętemu w ciasnym znaczeniu partyjnym lub klasowym. Sądy wyjątkowe mają na celu szerzyć grozę, a środki, jakimi do tego zmierzają, są: szybkość i ostrość reakcji. Szybkość osiąga się przez uproszczenie procedury, ostrość — przez uproszczenie kar w zwykłych warunkach niedopuszczalnych. Dalej autor przechodzi do krytyki owych środków i stwierdza, że środki te chybiają zupełnie celu, wpływając również nader ujemnie na wyświetlenie prawdy sądowej, o co powinno chodzić każdemu sądowi, o ile on swymi wyrokami niechce wzbudzać odrazy.

W drugiej części swej książki autor poświęca dużo miejsca badaniu duszy oskarżonego o polityczne przestępstwa. Rozróżnia on dwa momenty: 1) stosunek przestępcy do zbrodni, czyli wszystko to, co poprzedza czyn, co mu towarzyszy, co następuje po nim jako wspomnienienie i 2) stosunek oskarżonego do sądu, do kary, do wszystkiego, co po dokonanym czynie jako represja społeczna na niego spada.

Ciekawa jest nader charakterystyka anarchisty z Zachodu, Polaka rewolucjonisty i terorysty Rosjanina. Anarchista Zachodu to ideowy szaleniec; władze intelektualne, działając z wielką wyrazistością, skłaniają go do czysto rozumowych kojarzeń; intelekt suchy, metafizyczny panuje nad wolą, wola idzie na służbę teoretycznie skonstruowanego dogmatu. Terrorysta rosyjski prawie zawsze owiany jest jakimś urokiem sentymentu, poezji, często jest to umysł dziecięcy, naiwny, działający pod wpływem afektu, czasami nie pozbawiony pozy, oddający się dobrowolnie w ręce władzy, gotów ekspiować, czynić pokutę za niemoralność bohaterskiego czynu. Czyn jego jest bezpośrednim odruchem przeciwko najbliżej dotykalnej przyczynie zła. Polak jest żołnierzem w toczącej się walce społecznej. Służy w armji wojującej i będzie tylko chciał, żeby go rozstrzelano, jak żołnierza.

Dalej p. Makowski pragnie nas zaznajomić z psychologją uczestników akcji zasadzek zbiorowych i przestępstw.

Ciekawe są bardzo spostrzeżenia i obserwacje dotyczące szpiegów i renegatów politycznych. Ze skalpelem psychologa kryminalisty, autor pragnie odtworzyć nam pobudki czynu i psychikę człowieka, który zdobył się na zdradę swych dawnych współtowarzyszy. Odróżnia Makowski renegata-bandytę od renegata politycznego. W delatorze musi nastąpić renegacja zewnętrzna i wewnętrzna. Zaprawdę oto człowiek szedł czynić społeczny czyn, narażał swe życie, stawał pod świszczącemi kulami i oto naraz ten że sam człowiek uląkł się więzienia, uląkł się tej samej śmierci, której tyle razy zaglądał w oczy, popełnił pierwszą słabość, wymienił parę imion swych towarzyszy. Na miejsce dotychczasowych pobudek jego czynu weszła nowa—wzgląd czysto osobisty, obawa przed odpowiedzialnością wobec towarzyszy. Osobiste doświadczenie pokaże mu, że renegacja przyniosła osobisty zysk i wtedy rozpocznie się stopniowa sprzedaż ludzi. Dalej autor zastanawia się, dlaczego ostatnie czasy dały tak znaczną liczbę delatorów i spostrzega, że przyczynę tego należy szukać w dobie rewolucji: otwierano bez zastanowienia objęcia i ludzie szli pod wpływem naśladownictwa. Człowiek taki odseparowany od tych, którzy go pociągnęli, nadzwyczaj łatwo, wobec grozy położenia łamie się, a gdy raz popełni czyn, przeciw któremu walczył, będzie zwalczał szereg również uczuciowych przykrości z tym odstępstwem związanych, skutkiem tego nastąpi pogłębienie i zaciekłość cechująca renegatów. Czyny w odwrotną stronę pójdą tak samo żywo i z taką samą swadą, jak pierwej szły w poprzednim kierunku. Najsłabszą częścią dzieła jest próba syntezy. Syntezy takiej autor nie dał. W każdym razie autor rzucił dużo myśli trafnych i zgromadził obfity materjał psychologiczny i pomimo zewnętrznego zimna odsłonił dużo ran obecnego układu społecznego.

Piotr Zubowicz.

Z TEATRU: **„Dzisiejsi"** — Stefana Kiedrzyńskiego

Wynik konkursu dramatycznego *Teatrów Rządowych*, wyprowadzając na arenę publiczną talenty młode i nazwiska szerszemu ogółowi nieznane, usprawiedliwił poniekąd rację bytu tego rodzaju przedsięwzięć i zatarł przykrą pamięć turnieju zeszłorocznego, kiedy to zwycięzcami wyszli, ku pośmiewisku Warszawy, jeden ślepy, drugi ponoś — kulawy.

Sztuka p. Kiedrzyńskiego nie jest dziełem szerokiego natchnienia; zamyka się ona w ciasnym światku poziomych żądz i płaskich ambicji, śmiesznych podrygów idealizmu i gryzących dymów ironji życiowej, w których ofiary czulsze niekiedy duszą się i umierają w zgryzocie. Niechaj nas to jednakże nie dziwi. P. Kiedrzyński wyrósł i żyje w Warszawie: jego „Dzisiejsi" są kwiatem, zeszłym na grzędzie naszych „Wczorajszych".

P. Władysław Rabski, patron brutalności warszawskiej, ubolewa nad *amoralizmem* młodego autora i zarzuca mu lubowanie się w lepieniu „harmonijnych posągów z błota".

Miły Boże! Cóż p. Kiedrzyński winien, że w ludziach najbliższego środowiska nie spostrzega ani marmuru, ani dębu, ani dźwięcznych drogocennych kruszców?

Krytyka chóralnie oskarża autora o lekceważenie „pierwiastku szlachetności" w duszy ludzkiej, o wzgardę dla powagi i „dostojności" ideałów," tkwiących w naturze człowieka.

To prawda. P. Kiedrzyński w 23-im roku życia jest już beznadziejnym pesymistą.

Atoli w gruncie rzeczy, cóż sądzić on może istotnie o wartości umysłowej i moralnej „dzisiejszych" ojców krytyki i literatury, dowiadując się np., że sztuka jego, z której, jak wszyscy przyznają „talent tryska wszystkimi porami", nagrodzona została jedynie przez nieporozumienie, które kazało sędziom konkursowym widzieć w „Dzisiejszych" utwór Zapolskiej? Cóż myśleć on może o „dostojności" tych czcigodnych mężów, którzy mszcząc się dzisiaj za swój śmieszny i bolesny zawód na młodym autorze, — nie mogąc już po wyroku swym odmówić mu talentu, odmawiają mu — reszty, wytykając brak kultury, moralności i wszelkich cnót ewangelicznych?

Cóż sądzić ma on o tych ludziach?

Czyli nie przeczuł ich, nie przewidział ich z góry w swej wizji dramatycznej? Czyli nie podstawił im dokładnego zwierciadła w obrazie swych „Dzisiejszych."?

I. Z.

NA DOBIE.

Symptomat.

Wśród wrzawy rozpętanej dokoła przesilenia, przeszły prawie niepostrzeżenie wybory uzupełniające w Moskwie, gdzie partja Wolności Ludu świetne odniosła zwycięstwo. Tym razem kandydat partji kadetów, adw. Teslenko, zebrał 80 proc. wszystkich głosów, podczas gdy w r. 1907 (wyb. do III Dumy) poprzednik jego zdobył 57,7 proc. a wcześniej jeszcze — 53,4 proc. Nawet w czasie największego rozkwitu tej partji, w r. 1906, ilość zdobytych przez nią głosów nie przenosiła ogółem 64 proc.

Tak znaczny wzrost zaufania do stronnictwa Wolności Ludu jest ważną wskazówką co do nastroju umysłów, tymbardziej, że mamy tu do czynienia z Moskwą, a więc ze środowiskiem rdzennie rosyjskim, promieniującym duchowo na całe państwo, a przynajmniej — wewnętrzne jego gubernie.

Jeśli nie nastąpią jakieś fatalne niespodzianki — a w Rosji są one zawsze możliwe — można przypuszczać, że z wyborów do IV-ej Dumy, pomimo wszystko, stronn. Milukowa i Rodiczewa wyjdzie obronną ręką, co nie może być dla nas, Polaków, obojętne.

Współrzędnie z rosnącym wpływem „kadetów" idzie zanik prądów konserwatywnych i skrajnie lewicowych. Program „kadetów", nawskroś ewolucyjny, pozytywny i zakrojony na europejską miarę, podlega zajadłym atakom z prawej i lewej strony. Lewica skrajna widzi w nim oportunizm i brak żywiołowego napięcia; istotnie, w gorączkowej i często bezmyślnej licytacji haseł „kadeci" nie uczestniczyli, co należy im poczytać za zasługę, jakkolwiek przez to właśnie nie mogli być popularni wśród młodzieży i kół robotniczych.

Co do październikowców — mogli oni byli odzyskać grunt pod nogami stanowczą i energiczną postawą opozycyjną względem premjera, wdzięczny mając do tego powód w ostatnim jego zarządzeniu; taktyka ich jednak pozostała nadal chwiejna, a nowy prezes Rodzianko nie przysporzy jej równowagi ani krzepkości; stopniowy upadek październikowców w Moskwie ilustrują następujące kolejne liczby: na pierwszych wyborach zebrali oni 30,5 proc. głosów, na drugich — 24,3 proc.. na trzecich 26,4 proc. (16 czerwca!) obecnie zaś — 10 proc.

Jestto formalna rozsypka.

Rzecz prosta, nie trzeba stąd wysnuwać wniosków przesadnych, ani bezpośrednich nadziei. Tym nie mniej pamiętać powinni wszyscy Polacy—a zwłaszcza ci, co tak niedawno jeszcze pod przewodem *Gazety Warszawskiej* usiłowali „kadetów" spotwarzyć w oczach opinji — winni pamiętać, że stronnictwo Wolności Ludu jest rzecznikiem gruntownych reform państwowych, związanych nierozdzielnie ze sprawą autonomji Królestwa Polskiego.

Wyrok w sprawie Rapperswilu.

Echami nadzwyczajnych i barbarzyńskich praktyk jakie popełnia w Muzeum i Bibliotece rapperswilskiej p. kustosz Rużycki de Rosenwerth rozbrzmiewać dziś cała prasa polska.

Najsilniejszym jednak pociskiem jest broszura [1]) wydana przez p. Stan. Szpotańskiego i zaopatrzona przez niego słowem wstępnym, która przynosi głosy Stefana Żeromskiego, d-ra Feliksa Kopery i Władysława Kłyszewskiego.

Tu już na podstawie autentycznych dokumentów, bo świadectw najznakomitszego w Polsce pisarza i b. bibliotekarza Muzeum, dowiadujemy się o panującej tam gospodarce.

Wystąpienie demonstracyjne Żeromskiego a potem Karczewskiego, podobnie jak zgłoszony już przed laty 17 protest d-ra Dobrzyckiego z Warszawy, nie skłoniły Rady muzealnej do opamiętania i usunięcia starego mamuta i szkodnika. Jak świadczy dr. Kopera, dyrektor Muzeum Narodowego w Krakowie, a zatem powołany rzeczoznawca, Muzeum w Rapperswilu kompromituje nas w dalszym ciągu przed zagranicą, która uważać je może za odbicie naszej kultury w kraju. Listy pracowników, którzy w ostatnich czasach korzystali z biblioteki stwierdzają, że całość jej jest pozostawioną sumienności publicznej, bo wraz z p. Wacławem Karczewskim, który za protest przeciw porządkom w bibliotece usunięty od niej został, usunął się i jego pomocnik p. Kłyszewski, nie chcąc brać na siebie odpowiedzialności za trwonienie narodowego mienia.

Dowody nieudolności, bezkarności i krzywd wyrządzonych polskim zbiorom i polskiemu społeczeństwu są aż nadto liczne, ażeby się domagać zmiany systemu, urzędnika, a nawet ustąpienia całej Rady Muzealnej skoro swoich obowiązków zrozumieć nie chce. Zachodzi jednak niesłychana trudność prawna: oto Rada jest dożywotnią i uzupełnia się przez kooptację, musiałaby jednak dobrowolnie ustąpić i ustąpiłaby niewątpliwie, gdyby uznała się istotnie za mandataryuszów swego społeczeństwa. Przypuszczam, że tak musiałoby być wszędzie. W Polsce jednak inaczej: opinji być nie może bo jej nikt nie słucha.

I oto przed tą trudnością prawną i wzdraganiem się w dekretowaniu sprawy na mniej legalnej drodze stanął zwołany w d. 1 kwietnia do auli uniwersytetu Jagiellońskiego wiec, a raczej zebranie za zaproszeniami, przyczem starannie przesiewano przez koneserskie sito wszystkich, których niekoniecznie należało o zdanie zapytać. Pomimo to zarysowało się wyraźnie stronnictwo gorętszych obrońców narodowej własności i tych, którzy przed wszelkim przedawnieniem i zwierzchnością kornie zwykli uchylać czoła.

O przebiegu wiecu czytelnicy wiedzą już z pism codziennych. Tu dla obrony honoru Krakowa dodać tylko trzeba, że w zgromadzeniu tym złożonym z przedstawicieli lewicy i prawicy, z artystów, literatów, uczonych, reprezentantów Towarzystw kulturalnych — nie było obrońców gospodarki p. Rużyckiego, ani nawet niedbalstwa Rady. Jedyny w Krakowie zamieszkały członek Rady p. Turski nie miał odwagi stanąć przed wiecem. Uchwalono wysłać memorjał do Rady i zapytać prawników, czy ustawa Muzeum pozwalałaby na jego przeniesienie do kraju.

Rada jednak zbierze się dopiero w sierpniu,

[1]) „Sprawa Rapperswilska", Kraków.

a Muzeum i Bibljoteka poważnie są zagrożone. Wobec tego konieczny jest ratunek energiczniejszy, a ten tylko silnie zaakcentowane żądanie jak najliczniejszych grup społeczeństwa wywołać może. Taka akcja ponownie jest u nas projektowaną, ale Warszawa i Królestwo podtrzymać ją musi.

Kraków. *Dr Z. D.-G.*

Społeczne znaczenie mody.

Dnia 6 kwietnia r. b. w sali Stowarzyszenia Techników p. Józef Lange wygłosił odczyt, urządzony staraniem Związku równouprawnienia Kobiet Polskich pod tytułem „Moda, jako zjawisko społeczne”. Odczyt, stanowiący niejako streszczenie większej pracy, którą prelegent przygotowuje do druku, miał na celu wykazanie znaczenia mody w całokształtcie zjawisk społecznych, a w szczególności znaczenie jej w życiu społeczeństwa polskiego. Prelegent wywody swe oparł wyłącznie na stroju, jako na jednym z objawów mody, zaznaczywszy wszakże, że strój zakresu jej pojęcia nie wyczerpuje, moda bowiem ogarnia wszystkie objawy życia zownętrznego i wszystkie zewnętrzne wyrazy życia duchowego. Pomimo to jednak moda ma wielkie znaczenie, a jej ścisłą zależność od prądów społecznych, politycznych i literackich, prelegent uwydatnił na szeregu przykładów z historyi i z chwili bieżącej. Ustaliwszy tę zależność, p. Lange określił cel mody, jako dążność sfer wyższych do odróżnienia się od niższych, co dawniej osiągały one za pomocą praw specjalnych, a od początku XIX wieku przez ciągłą zmianę mody.

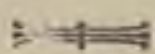
Wobec ułatwień, które mają sfery niższe do natychmiastowego naśladownictwa strojów sfer wyższych, te bronią swej odrębności przez ciągłe ich zmiany, co zresztą staje się coraz trudniejszem, wobec olbrzymiego rozwoju techniki przemysłowej.

Następnie prelegent wskazał źródła, z których moda czerpała i czerpie swe wzory, zatrzymując się dłużej nad obcem pochodzeniem mody, jako przeciwstawieniu tradycyi i zwyczaju narodowego. Dla Polski, która ulegała tylu wpływom ze Wschodu i z Zachodu, jest to najważniejsza strona zagadnienia mody. Szeregiem cytat z pism politycznych i satyrycznych polskich, p. Lange uwydatnił walkę z obcemi wpływami we wszystkich dziedzinach życia, walkę, trwającą dotychczas. Napięcie tej walki mody ze zwyczajem omówił w zakończeniu p. Lange charakteryzując stosunki między narodami; badania wszakże historji mody wskazują, że zbliżenie się narodów jest coraz ściślejszem. Walka przeciwko modzie trwa jeszcze i trwać będzie dopóty, dopóki trwać będzie walka klasowa i narodowościowa. Jeżeli jednak kiedyś ludzie się zrównają, ustaną walki, nikt nie będzie czuł potrzeby wywyższania się, a żaden naród korzystając z obcych zdobyczy nie będzie widział w nich zamachu na swoje ideały narodowe, na swoje bezpieczeństwo. Postęp wszystkim będzie zarówno służył, a jedyną miarą jego wartości będzie korzyść powszechna.

Do chwili tej jeszcze daleko, jeżeli wogóle nastąpi ona kiedykolwiek.

Ale moda idzie ku jej zbliżeniu.

Z PRASY.



Z prasy polskiej.

* W tygodniku lwowskim *Życie* p. Ludwik Kulczycki rozważa *Stosunki polsko-rusińskie w Galicji* i zaznaczywszy obecną, fatalnie zaogniona fazę zatargu, następujące stawia pytanie:

> Jakie jest więc wyjście z obecnego stanu rzeczy? co robić, aby załagodzić, jeżeli już nie usunąć, ten antagonizm?
>
> Rusini rozwijają się szybko i wszechstronnie, wpływ ich musi z konieczności rosnąć, opozycja ich w sejmie nie jest także bez znaczenia. W interesie państwa, rząd centralny sprzyja także polityce koncesji wobec nich. Nie ulega więc wątpliwości, że powoli, po szeregu licznych walk i ostrych starć, mimo wszystkie przeszkody, Rusini zdobywać będą coraz większe koncesje, nawet wbrew woli Polaków.
>
> Czy więc nie lepiej, zrozumiawszy konieczność ustępstw wobec Rusinów, zmienić dotychczasową politykę wobec nich i zaproponować im szereg reform, któreby umożliwiły pokojowy rozwój obu narodów w Galicji?.
>
> Czy nie lepiej jest dla nas, jeżeli inicjatywę w tym kierunku weźmiemy na siebie, nie czekając aż przyjdzie ona z góry; jeśli reformę w stosunkach polsko-rusińskich podejmiemy w chwili, kiedy posiadamy bądź co bądź silną pozycję w monarchji, w czasach stosunkowo spokojnych?

Dwie mogą być dziś koncepcje uregulowania stosunków polsko-rusińskich: podział Galicji na dwa odrębne terytorja prawno-państwowe — oraz równouprawnienin faktyczne i całkowite Rusinów z Polakami.

P. Kulczycki odrzuca stanowczo pierwszy z tych środków i niemniej stanowczo opowiada się za drugim:

> Równouprawnienie Rusinów z Polakami polegać powinno na zapewnieniu im większego znacznie niż dotychczas znaczenia, wpływu w sejmie, instytucjach autonomicznych i rządowych w Galicji.
>
> Należałoby im zapewnić dziś przynajmniej 31% posłów w sejmie, 4 członków Wydziału krajowego (na ogólną liczbę 10, obecnie jest 1 na 6). Trzebaby też stworzyć posady vice namiestnika i vice marszałka (obecnie jest tylko zastępca marszałka do przewodniczenia sejmu — metropolita Szeptycki) i oddać je Rusinom.
>
> Jedną z najpilniejszych reform jest stworzenie odrębnego uniwersytetu rusińskiego we Lwowie, a raczej jego zawiązku, z równoczesnym zagwarantowaniem polskiego charakteru dotychczasowego uniwersytetu. Następnie należałoby fundusze przeznaczone na cele narodowo-kulturalne dzielić wedle powszechnego stałego klucza pomiędzy Polakami a Rusinami np. w stosunku 67 do 33. Dotychczasowa Rada szkolna krajowa powinna być podzielona na dwie odrębne: polską i rusińską.
>
> W powiatach, w których Rusini stanowią znaczną większość ludności, urzędnicy powinni być w przeważnej części Rusinami.

Z punktu widzenia polskiej polityki w Galicji porozumienie to jest rzeczą najwyższej potrzeby. Reformy wyżej wskazane osłabiłyby niezawodnie rusińskie żywioły skrajnie nacjonalistyczne i umożliwiłyby zdobycie większego wpływu kierunkom innym. Niezawodnie powstałoby wówczas inne stronnictwo, które nie rezygnując z daleko idących dążeń społeczno-politycznych i narodowych — zrozumiałoby korzyść, płynącą dla Rusinów z współdziałania z polskimi żywiołami postępowo-demokratycznymi.

Szerszy, ogólno-narodowy punkt widzenia, ogarniając całokształt zadań polityki naszej, wskazać powinien i na tę okoliczność, że w ościennej Rosji mieszka 30 miljonów Rusinów, dla których reforma galicyjska stworzyłaby ważny precedens, obracając nadto w niwecz misterne plany pp. Bobryńskich, bezmyślnie dotąd popierane przez galicyjskich podolaków i endeków, którzy, by dopiec „hajdamakom” rusińskim, wysuwają przeciw nim t. zw. moskalofilów.

Te skandaliczne rządy naszych polityków „kresowych”, tamując normalne rozwiązanie kwestji polsko-rusińskiej, olbrzymią czynią nam szkodę; podobnie rządy „kresowe” p. Stołypina jątrzą i zaogniają w Rosji stosunki polsko-rosyjskie; ostatnią okoliczność dostrzega wybornie *Gazeta War.*, ale w stosunku do pierwszej zdradza nieuleczalną ślepotę.

A przecież kwestja rusińska, która w dziejach Rzeczypospolitej była jedną wielką bolączką, odegrać może

w naszej przyszłości bodaj czy nie pierwszorzędną rolę. Rozumieją to już i przewidują nasi wrogowie z nad Szprewy, Newy i Dunaju — ale nasi miarodajni politycy zrozumieć tego nie mogą, pomimo dobitnych ostatnimi czasy lekcji i ostrzeżeń.

* W sprawie muzeum narodowego w Rapperswilu, po przewlekłym bardzo milczeniu, odezwała się nareszcie *Gazeta Warszawska*.

Główny organ endecji niewiele ma do powiedzenia, ale to, co mówi, jest nadzwyczaj typowe. Zamiast wziąć pod uwagę zarzuty kompetentnych znawców, uznać ich słuszność lub odrzucić, *Gazeta Warszawska* zbywa je obojętną uwagą, że „perjodycznie, co parę lat zarząd muzeum jest przedmiotem ataków, skierowanych głównie przeciw osobie kustosza". A dzieje się to dlatego, że „ustępujący bibljotekarz ma zwykle dużo do opowiedzenia o kustoszu, z którym przez dłuższy czas pracował. Chwytają tę sposobność inni i kampanja gotowa".

Niepodobna w bardziej krotochwilny — powiedzmy: błazeński — sposób traktować sprawy poważnej i bolesnej, którą wszak poruszył, prócz innych wybitnych osób, Stefan Żeromski, człowiek, z którego ideałami politycznymi można się nie zgadzać, ale w którym czcić należy prawość charakteru i krystaliczną czystość pobudek. Zaś *Gazeta Warszawska* ma czelność sprowadzania owych pobudek do poziomu jakichś osobistych swarów, plotek i animozji zaściankowych. Typowa to dla niej metoda!

W dalszym ciągu, omawiając gospodarkę sławetnego kustosza, warszawski organ endecji ujawnia dużo mimowolnego humoru. Jakaż bo może być przyczyna, że miejsce kustosza zajmuje w Rapperswilu p. Włodzimierz Różycki? Jedynie ta — mówi bez uśmiechu *Gazeta* — że... nie kradnie i „póki on jest... można być pewnym, że nic z muzeum nie zginie". Mała pociecha! P. kustosz nic wprawdzie z muzeum nie wyniósł, ale sporo napsuł i sfałszował, zaś namiętne przywiązanie do pamiątek narodowych ujawnia się w nim w postaci śmiesznej i kłopotliwej manji zasypywania Muzeum mnóstwem własnych fabrykatów. Toć chyba jasnym jest, że oprócz uczciwości trzeba mieć jeszcze inne kwalifikacje, by sprawować pieczę nad muzeum naszych pamiątek — trzeba być przedewszystkim człowiekiem zdrowym na umyśle i posiadać odpowiednie wykształcenie.

Z prasy zagranicznej.

* *Neue Freie Presse*, pisząc o sprawie Rybaka, do takich dochodzi wniosków:

Werdykt sędziów przysięgłych w Krakowie narusza wprawdzie poczucie prawne, ale niewątpliwie usprawiedliwiony jest tym, że Rybak, jako szpieg rosyjski, uważany był za człowieka, nie zasługującego na żadną obronę. Jest to wina państwa rosyjskiego, które nie zadowala się ściganiem politycznych zbrodniarzy swoją polityczną policją na własnym terytorjum, lecz czynność w tym kierunku rozwija także poza swoimi granicami, zwłaszcza w Galicji, gdzie utrzymuje swoje organy tajnej policji. Nie tak dawno temu, jak rząd rosyjski nosił się z planem utworzenia we Wiedniu centralnej organizacji i ekspozytury „ochrany", która miała nawet mieć pewien oficjalny charakter i komunikować się z władzami austryackimi.

Od tego zamiaru musiał wprawdzie rząd rosyjski odstąpić, lecz nie uchodzi, by w dalszym ciągu utrzymywał swoich agentów w Galicji. Jest to bowiem grube nadużycie prawa gościnności, jeśli obce państwo utrzymuje na cudzym terytorjum swoją policję. Clemenceau swego czasu, jako minister, usunął policję rosyjską z Francji. Austrja ma wszelkie powody iść za przykładem Francji i o c z y ś c i ć s w e t e r y t o r j u m z o b c y c h s z p i e g ó w p o l i c y j n y c h. Austrja winna to nietylko swoim p o l s k i m o b y w a t e l o m, ale i w ł a s n e j g o d n o ś c i. Jeżeli Galicja zostanie oczyszczona z organów „ochrany", to w przyszłości w miastach galicyjskich nie będą możliwe ani takie morderstwa, ani takie procesy.

Z prasy rosyjskiej.

„BACHANALJE SŁUŻBOWE". Na życzenie głównego zarządu rolnictwa — pisze „Warsz. Sł." w artykule pod nagłówkiem jak wyżej — senator rewidujący dokonał rewizji radomskiego zarządu dóbr państwa.

Przytaczając słowa raportu w sprawie tej rewizji, pisze „W. Sł.", iż „brali tam wyżsi i niżsi, a brali dużo. Podwładni dzielili się ze zwierzchnością. Brali nietylko za wykroczenie przeciw prawu, lecz i za sprawy zupełnie legalne, które jednak bez łapówki nie posuwały się naprzód.

„Jeśli petenci nie mieli w danej chwili pieniędzy, to wystawiali weksle, które spłacali w miarę uzyskania różnych zezwoleń legalnych i nielegalnych.

„Brano osobiście, brano też za pośrednictwem umyślnych pełnomocników, z których najgodniejsi zaufania mieli nawet certyfikaty, zaświadczające ich uczciwość w prowadzeniu interesów z rządem.

„Jeśli do Radomia przyjeżdżał ktoś, kto chciał kupić lub sprzedać ziemię lub las, usłużni komisjonerzy zobowiązywali się sprowadzić do hotelu stróżów dóbr państwa.

„W zarządzie każde staranie okupione musiało być nielegalnymi opłatami na rzecz urzędników. Ustalono nawet taksę od drzewa i dziesięciny.

„Komisje, które oceniały ziemie majoratowe wystawione na sprzedaż, były opłacane za oceny po myśli właścicieli majoratów. Przytym funkcje taksatora i zatwierdzającego oceny ogniskowały się niejednokrotnie w jednym ręku.

„Urzędnicy, za poważne honorarja brali na się starania w zakresie przeprowadzenia spraw prywatnych w instytucjach rządowych, gdzie pracowali. Nawet wyżsi urzędnicy uprzejmie, lecz oczywiście za pieniądze, podejmowali się opracowania planów leśnych, za co płacono nie stosownie do pracy, lecz stosownie do stanowiska i wpływów urzędnika.

„Urzędnicy byli zarządzającymi majoratów i leśnictw, nad których kupnem-sprzedażą mieli rozciągnąć nadzór, a które sami sprzedawali i wywłaszczali imieniem swych mocodawców.

„Pobieranie łapówek w radomskim zarządzie dóbr państwa stwierdza się niezbicie całym szeregiem danych, zawartych w zabranej korespondencji...

„Poczynając od urzędników najwyższych, a kończąc na najniższych, wszyscy piją szampana, po większej części — samego szampana i u siebie w domu i w klubie i w razie wyjazdów kolejami. Grają w karty codziennie. Stawka sturublowa jest rzeczą zwykłą".

Obraz powyższy mówi sam za siebie, nie wymagając — konentarzy!

W PRZEDEDNIU CZWARTEJ DUMY. Dzienniki petersburskie zamieściły już raz wiadomość, iż premjer Stołypin wezwać ma do Petersburga grupami wszystkich gebernatorów i naczelników obwodów celem porozumienia się osobistego w sprawie polityki wewnętrznej.

W Petersburgu wyrażany jest obecnie pogląd, iż przedmiotem narad z gubernatorami będzie głównie kampanja przedwyborcza. Jak jednak podają dzienniki petersb. z ostatnich źródeł, prócz tego premjer zaznajomić się ma z polityką lokalną w tym sensie by osobiście dowiedzieć się o stanie rzeczy w poszczególnych częściach państwa. Polityka gabinetu — wyjaśniają rzecz dzienniki petersburskie — zmierza do tego, by stopniowo doprowadzić mapę Rosji do wspólnego mianownika pod względem pełnomocnictw w zakresie ochrony wyjątkowej. Obecnie bowiem przypuszczać należy, iż uspokojenie nastąpiło w rzeczy samej i że poszczególne lokalne fakty pogwałcenia porządku państwowego i społecznego nie mogą być brane w rachubę. To też powołanie gubernatorów do Petersburga będzie miało za cel bezpośredni ustalenie, o ile wykonalna jest propozycja ministerjum spraw wewnętrznych w sprawie zniesienia stanów wyjątkowych. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, zniesienie stanów ochrony w wielu okolicach państwa jest

możliwe i będzie uskutecznione, tymbardziej, iż będzie to piękny gest bez wewnętrznej treści, gubernatorom bowiem przysługiwać będzie nadal prawo wydawania postanowień obowiązujących.

KRONIKA.

BRATNIA POMOC W ZAKOPANEM istniejąc od lat 10 wzniosła *Dom zdrowia dla uczącej się młodzieży polskiej*, z którego setki korzystają pacjentów, zachowując w sercach dozgonną wdzięczność dla jednej z najpiękniejszych i najbardziej humanitarnych instytucji.

Całe społeczeństwo polskie niesie „Bratniej pomocy" swą daninę w formie rocznych lub jednorazowych składek, oraz dochodów z przedstawień i koncertów. Finansowo szczęśliwsi pacjenci wielkiego senatorjum dr. R. Dłuskiego obciążają się stale skromnym miesięcznym podatkiem i urządzają na „Bratnią pomoc" przedstawienia amatorskie. Z tego źródła wpływa stale kilka tysięcy koron rocznie do kasy „Domu zdrowia". Zarząd powyższego sanatorjum ze swej strony robi również co może dla mniej uprzywilejowanej bratniej instytucji. Lwią jednak część dochodów stanowią dotychczas stałe składki — różnych grup młodzieży z całej Polski, ten krwawo zaoszczędzony bohaterskim nieraz wysiłkiem grosz koleżanki. Szlachetna ofiarność gorących serc młodzieży i lepszych jednostek naszego społeczeństwa, oraz cicha pełna poświęcenia i wytrwałości praca kierowników „Domu zdrowia" przedewszystkim dr. Żychonia — prezesa instytucji, oraz pp. doktorostwa Kuczewskich (lekarza i administratorki sanatorjum)—dokazały cudów.

Dziś „Bratnia pomoc" osiągnęła chwilowy cel swych najgorętszych pragnień, stała się bowiem właścicielką $5^1/_2$ morga w połowie zalesionych, położonych w wymarzonym, zacisznym miejscu na uboczu od samego Zakopanego — na stoku Gubałówki, w powodzi słońca i światła. Piękna stylowa willa, należąca do posiadłości, oraz kilka okolicznych donajętych domków dadzą na razie pomieszczenie około 50 pacjentom po dobudowaniu odpowiedniego pawilonu gospodarczego. Ale to tylko tymczasowa instalacja. Na zakupionym placu stanąć może 5 do 6 murowanych pawilonów, każdy na 20 osób, które razem stanowić mają owo „idealne" sanatorjum, które jest tak niezbędnym dla niezamożnej uczącej się młodzieży.

Wybiła więc godzina, gdy zamożniejsze warstwy naszego społeczeństwa mają święty obowiązek zdjąć z barków uczącej się młodzieży ten ciężar finansowy, któremu ona stanowczo podołać nie może.

MARJAN SOKOŁOWSKI. Wybitny pracownik, z którego nazwiskiem łączy się duży dorobek naukowy na polu historji sztuki, pamiątek i zabytków, profesor Uniwersytetu Jagiell., Marjan Sokołowski, zmarł w tych dnich w Krakowie po dłuższej chorobie. Urodzony w roku 1839 w Czyżewie Kościelnym w Królestwie, w Warszawie odbywał nauki gimnazjalne. W wypadkach 1863 r. brał udział dość wybitny, jako komisarz województwa sandomierskiego. Mimo że zrazu rozpoczął studja w paryskiej „Ecole de droit", niebawem poświęcił się w zupełności historji sztuki i po ukończeniu studjów na uniwersytetach w Hajdelbergu, Berlinie i Wiedniu licznymi studjami i zwiedzeniem muzeów dopełniał wykształcenia Otrzymawszy w Krakowie dyplom doktorski, został niebawem docentem historji sztuki, potym prof. nadzwyczajnym, a wreszcie w roku 1888 zwyczajnym profesorem Jagiellońskiej wszechnicy. Na stanowisku tym w ciągu szeregu lat wykształcił licznych uczniów, z których wielu zdobyło już znane nazwiska, wzbogacił wspaniałe zbiory uniwersyteckie, odnoszące się do historji sztuki, a równocześnie pracował nad studjami i rozprawami z zakresu swej specjalności. Ogółem liczba jego prać naukowych dochodzi stu, najważniejszymi z nich są: rozprawa „Hans Suess z Klumbachu i jego działalność w Krakowie", „Studja do historji snycerstwa w Polsce XV i XVI wieku", zawierające cenne przyczynki do twórczości Wita Stwosza, „Studja do historji sztuki XVI i XVII wieku" i inne.

Działalność pedagogiczna i pisarska nie wyczerpywała jego pracy. Reorganizacja Muzeum ks. Czartoryskich w Krakowie, inicjatywa i zorganizowanie Domu Matejki, udział w pracach grona konserwatorów Galicji zachodniej, badanie ruin, zabytków przeszłości, praca w Komisji Akademji Umiejętności dla badania historji sztuk — to kilka szczegółów z ożywionej i wytężonej działalności profesora Marjana Sokołowskiego. Obok nauki intoresował się bardzo sprawą słowiańską i był jednym z najczynniejszych członków „Klubu słowiańskiego" w Krakowie.

SEWERYN NOWICKI, artysta dramatyczny Warszawskich Teatów Rządowych, zmarł d. 3 b. m. przeżywszy lat 52.

HOJNY ZAPIS. Zmarły niedawno temu w Lublinie dr. Eligjusz Kuszelewski zapisał rb. 22,000 na rzecz Tow. przyjaciół uczącej się młodzieży i rb. 9,000 na różne cele społeczne.

ZE STATYSTYKI SZKOLNEJ W PAŃSTWIE ROSYJSKIM. Według przedstawionych Dumie państwowej danych ministerjum oświaty, obecnie w Rosji znajdusię 28 wyższych zakładów naukowych, 1,362 szkół średnich oraz 87,198 szkół niższych. W wyższych uczelniach uczy się 41,000 osób, w średnich zaś jest 414,319 uczniów. Co się zaś tyczy szkół niższych, to ścisłe dane są niewiadome, gdyż nie zostało jeszcze ukończone opracowanie materjału, jaki dał spis powszechny uczniów w dniu 31 z. m.; przypuszczalnie jednak liczba uczniów tych szkół wynosi przeszło 2,000,000.

W roku 1911 ministerjum zamierza otworzyć 21 nowych gimnazjów, 19 szkół realnych, 10 instytutów nauczycielskich, 6 seminarjów naczycielskich, oraz 161 szkół miejskich.

OFIARY.

Na kolonje letnie od następujących pracowników T-wa Nikopol-Mariupolskiego w Sartanie: L. Wasilewski rb. 10, T Jabłkowski rb. 10, T. Kobyliński rb. 3, S. Kleinsznek rb. 1, J. Tomaszewski rb. 2, S. Hegner rb. 2, S. Prauss rb. 3, B. Jankowski rb. 6, H. Cywiński rb. 2, S. Pilarski rb. 1, L. Gorazdowski rb. 3, G. Weker rb. 3, J. Rzewnicki rb. 2, J. Woroszyłło kop. 50, A. Misiewski kop. 50, W. Lenk rb. 1, A. Kozikowski rb. 1, L. Mierzyński kop. 50, S. Szczawiński rb. 1, J. Rayski rb. 1, A. Prokopowicz kop. 50, L. Czaykowski rb. 1, P. Mitrocki kop. 50, H. Blumel kop. 50. Ogółem rb. 56.

Na Szkołę w Kruszynku jako roczna składka od Alfreda Krzyżanowskiego rb. 5.

Na fermę praktyczną dla dziewcząt włościańskich w Gołotczyźnie: Dr. I. Mucha rb. 3 kop. 18, Wiwatowski z Warsz. rb. 1.

Książki nadesłane do Redakcji:

Julja Kreczyńska: „Luciferus", poemat odznaczony na konkursie poetyckim „Sfinksa". Warszawa, 1910, str. 42.

Samson Szyldberg: „Pieśni samotności". Warszawa, 1911, str. 160.

Dr. Horald Höffding, profesor uniwersytetu Kopenhaskiego: „Psychologja" w zarysie na podstawie doświadczenia. Przekład Adama Mahrburga z czwartego wydania niemieckiego według wielostronnie zmienionego piątego wydania duńskiego oryginału. Nakładem Henryka Lindenfelda 1911, str. 540.

O G Ł O S Z E N I A.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kjoskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

Wydawca **Józef Jabłoński.** Redaktor **Aleksander John.**

Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, Mazowiecka 8.